Cena 7 zł.

DZIŚ i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok II — Warszawa, 10 marca 1946 r. — Nr. 10 (16)

Wojciech Kętrzyński

POLACY i ROSJA

Między Polską a Rosją była krew — mówił generalissimus Stalin na bankiecie w czasie konferencji moskiewskiej 1945 r. Gdyby tylko to dzieliło dwa narody, łatwo byłoby zapory przełamać. Krew bowiem zmywa się krwią wspólnie przelaną na polu bitwy. Pomiędzy Anglią a Stanami Zjednoczonymi krew lała się niegdyś obficie. W imię braterstwa broni na polach bitew dwóch wojen światowych, zapomniano o tym łatwo.

Wspólność broni polskosowieckiej w ostatniej wojnie, krew wspólnie przelana od Lenino poprzez Wisłę, Odrę aż do zatknięcia flag zwycięstwa na Bramie Brandenburskiej w Berlinie — może i powinna być potraktowana jako przeciwwaga istniejącej w historii krwi między Polską i Rosją.

Między Polską a Rosją jest historia. Jest tradycja pokoleń, które począwszy od Kazimierza Wielkiego obracały swe oczy na wschód, tam, a nie gdzie indziej widząc wypełnienie się misji dziejowej Polski.

Wyrośliśmy z dwóch różnych pniów cywilizacyjnych. Naszą mentalność i naszą psychikę kształtował Rzym, rosyjską mentalność kształtowało Bizancjum.

Jeśli do tych zasadniczych różnic dwóch kultur dodać różnice materialne bytowania, wynikające z zupełnie odmiennych cech klimatyczno - geograficznych i etnicznych — będziemy mieli zasadnicze wytłumaczenie, dla czego oba narody patrzyły na siebie nieufnie lub wrogo, mimo wspólnego pnia słowiańskiego i stosunkowo nie dużych różnic językowych, dla czego nie zżyły się ze sobą przez wieki.

O ile ustrój polski utrwalał się przez ciągłe rozwijanie podstawy autorytetu, przez włączanie do pojęcia państwa co raz to szerszych warstw ludności, to w Rosji dziejowe wiatry przewalały przez otwarte przestrzenie plemiona, religie, obyczaje i władców. Społeczeństwo tworzyło się hierarchicznie wśród nieustannych walk i konfliktów wewnętrznych.

„Ziemla nasza wielika i obilna, no poriatku w niej niet, prijdtie kniażit' nam!" — wołali do swych władców.

To też inaczej kształtowały się w obu społeczeństwach pojęcia wolności, prawa, państwa i władzy. Gdy u nas poczucie wolności rodziło samowolę szlachecką, to w Rosji poczucie potrzeby porządku rodziło samodzierżawie. Gdy w Polsce utrwalał się ustrój decentralistyczny, gdy urzędy stawały się godnościami obywatelskimi, w Rosji powstawał zwarty ustrój centralny, oparty na co raz to mocniejszej warstwie urzędniczej. Dla Polaków, patrzących się z perspektywy zupełnie innej rzeczywistości — Rosja wydawała się tylko symbolem ucisku. Stąd nieprzeparta niechęć tak do władców, którzy gwałt zadawali, jak i do narodu, który się mu poddawał. Rzeczywistość rosyjska była jednak trochę odmienna.

„Myliłby się, pisał niegdyś Leroy-Beaulieu, ten, ktoby sądził, że państwo tak olbrzymie, jak Rosja, może być rządzone jedynie przez gwałt i siłę; nie gwałt, lecz autorytet władcy jest podstawą bytu tego państwa". Dodajmy do tego odrazu, że czynnik „silnej ręki" odgrywał, mimo tej oceny, olbrzymią rolę we władaniu Rosją. Był jednak czas, gdy czynnik ten był sankcjonowany przez społeczeństwo, które traktowało go jako nieodzowny atrybut władzy.

„Wasza wolność wam dobra, odpowiedział niegdyś Moskal Polakowi, a nasza niewola nam, wolność bowiem... (wasza) swawolną jest... u was mocniejszy chudszego gnębi, wolno mu wziąć chudszemu majętność i jego samego zabić, a przez prawo wasze dochodząc sprawiedliwości, powlecze się lat kilkanaście, nim dojdzie (na jednym), a na drugim nigdy. U nas... najbogatszy bojarzyn najchudszemu nie uczynić nie może, bo za pierwszą skargą car mnie od niego oprosta, a jeśli sam car jakie bezprawie mi uczyni, to jemu wolno, jako Bogu, bo on i karaje i żałuje. Nie tak mi jest (wtedy) żal, jak od swego brata to cierpieć, kiedy mnie car skarze, który jest wszystkiego świata panem..."

W tej charakterystyce, przecież nie wolnej od błędów w ocenie zarówno polskiego, jak i rosyjskiego porządku, kryje się zasadnicza różnica dwóch odmiennych społeczeństw.

Nie pragniemy tu rozsądzać sporu, który porządek społeczny był lepszy, która psychika była wyższa. Nie atakujemy tu, ani nie bronimy, ani Polaków, ani Rosjan. Stwierdzamy jednak, gdyż miało to zasadnicze znaczenie dla rozwoju dalszych stosunków polsko - rosyjskich, że psychika obu tych narodów ukształtowała się zasadniczo różnie, tak jak różne są ich indywidualności historyczne, kulturalne, ustrojowe i geograficzne. Bez tego stwierdzenia niezrozumiałe są dzieje wzajemnych stosunków Polski i Rosji.

NA PRZEŁOMIE HISTORII

Rozmaicie ocenia się dziś parcie Polski na wschód. Poczucie konieczności uregulowania stosunków polsko - sowieckich dyktuje niektórym pisarzom tezę, że parcie Polski na wschód było zasadniczym błędem historycznym narodu polskiego.

Rozumowanie to jest poprostu nie historyczne. Polska rozwijała się tak, jak każdy naród, po najmniejszej linii oporu. Tam szła ekspansja polska, gdzie miała największe szanse powodzenia, gdzie Polska się czuła najsilniejsza. To były główne przyczyny, dla których zwróciliśmy się na wschód. Trudno jest dziś rozważać słuszność, czy niesłuszność tego rozwoju — był żywiołowy. Nie przesądza to oczywiście sprawy, czy przy tym kierunku nie lekceważyliśmy sobie powolnej i cichej ekspansji kulturowej i gospodarczej od zachodu, czy nie zbagatelizowaliśmy sobie znaczenia naszych zachodnich kresów, zbyt zapatrzeni w zdobycze na wschodzie. To zupełnie inny problem, którego rozstrzygnięcie nie przesądza w żadnym razie oceny przyczyn i znaczenia naszej ekspansji wschodniej.

Powoli krystalizujące się stosunki polityczne w dawnej Rosji stały się przyczyną ekspansywnego charakteru granicy wschodniej.

O ile jednak wiek XV echuje jeszcze wyraźnie ofensywna postawa społeczeństwa polskiego, o tyle w wieku XVI zaczynają się rysować perspektywy równowagi sił. Widomym tego dowodem jest krystalizowanie się „frontu" ekspansji — są nim: Inflanty na północy, Kozaczyzna na południu. W wieku XVII „fronty" te krystalizują się już tak mocno, że przestają być czołowymi redutami Rzeczypospolitej, lecz stają się twierdzami, wokół których się walczy. Rzecz zasadnicza — walczy na północy i na południu nie dwóch, ale trzech współzawodników — o Inflanty walczą poza Polakami i Moskalami, również i Szwedzi, o Kozaczyznę poza Polską i Moskwą — Turcja.

Silniejsi przeciwnicy na północy powodują, że tam najpierw eliminuje się Polskę z walki. Wyprawy Batorego są ostatnim wielkim wysiłkiem naszym na tym odcinku. Kircholm i Kłuszyn sytuacji nie ratują. Ugoda w Stumsdorfie przesądza ostatecznie na naszą niekorzyść potrójny pojedynek o Inflanty.

Gdzieś pomiędzy Hadziaczem a Andruszowcami przegrywamy w sposób ostateczny walkę o wpływy na Kozaczyznę.

Konstanty Ildefons Gałczyński

PIEŚŃ O FLADZE

Jedna była... gdzie? pod Tobrukiem.
Druga była... hej! pod Narwikiem,
a trzecia — pod Monte Cassino.

A każda jak zorza szalona,
białoczerwona, białoczerwona,
czerwona, jak puchar wina,
biała jak śnieżna law na,
najukochańsza,
białoczerwona.

Zebrały się nocą flagi,
flaga fladze dodaje odwagi:
„No, no, tylko nie bądź zmartwiona!
Nie pomogą i moce piekła,
jam ciebie, tyś mnie urzekła
I nigdy nie będziesz biała,
i nigdy nie będziesz czerwona,
nie zmogą cię bombą ni złotem
i na zawsze zachowasz swą cnotę.
Zostaniesz białoczerwona,
jak wielka zorza szalona,
czerwona jak puchar wina
biała jak śnieżna lawina,
najukochańsza, najsłodsza,
białoczerwona".

Tak mówiły do siebie flagi
i raz wraz strzelał karabin,
zrobił dziurę w czerwieni i w bieli.
Lecz wołały flagi: „Nie płaczcie!
Choćby jeden strzępek na maszcie
nikt się zmienić barw nie ośmieli!
Zostaniemy białoczerwone,
flagi święte, flagi szalone,
spod Tobruku i spod Murmańska.
Niech nas pędzi dola cygańska!
Zostaniemy białoczerwone,
zostaniemy białoczerwone,
czerwone, jak puchar wina
białe, jak śnieżna lawina!"

O północy przy zielonych stolikach
modliły się diabły do cyfr.
Były szarfy, ordery i muzyka
i stukał tajny szyfr.
Diabły w swoim sercu głupim bo niedobrym
rozwiązywały białoczerwony problem.
Łkała flaga: „Czym powinna
zginąć, bo jestem inna —
że nie taka dyplomatyczna,
bo tragiczna, bo nostalgiczna,
ta od mgieł, ta od tkliwej rozmowy
i od serca, które nic nie znaczy...?

Flaga, jak ballada szopenowska,
co ją tkała sama Matka Boska."

Ale wtedy przyszła dziewczyna
i uniosła flagę wysoko,
hej wysoko — ku samym obłokom!
Jeszcze wyżej, gdzie się wszystko zapomina,
jeszcze wyżej, gdzie jest tylko sława
i Warszawa, moja Warszawa!
Warszawa, jak piosenka natchniona,
Warszawa białoczerwona,
biała jak śnieżna lawina
czerwona jak puchar wina
białoczerwona, białoczerwona, hej białoczerwona!

Pisane w obozie w Łambinowicach 1944 r.

Rozchwiewają się szanse stworzenia trójfederacji Korony, Litwy i Rusi, zrywają się więzy psychologiczne. Kozaczyzna przechodzi nieodwołalnie pod wpływy moskiewskie. I tu też dalszy pojedynek toczyć się będzie ze stale zmniejszającym się udziałem Polski.

Można więc stwierdzić, że z wiekiem XVIII wchodzi Polska w okres defensywy od wschodu wobec moskiewskiej przewagi sił. Nie jesteśmy deterministami, nie uważamy, aby przedstawiony powyżej proces załamywania się polskiej ekspansji wschodniej był nieunikniony. Stwierdźmy tylko fakt, że nie został przez naród polski odwrócony. Wiele było ku temu przyczyn, zarówno w wewnętrznych, jak i zewnętrznych warunkach rozwoju Polski.

Wiek XVIII cechuje już zupełnie wyraźnie przejście Rosji do ofensywy. Nie można już praktycznie mówić o ekspansji polskiej na wschód, można natomiast wyraźnie stwierdzić rysującą się co raz mocniej ekspansję rosyjską na zachód.

Miał naród polski wówczas przed sobą dwie drogi: albo zrezygnowawszy ze wschodniego kierunku ekspansji, zrezygnowawszy z wielu zdobyczy na wschodzie, uzgodnić swą politykę z polityką rosyjską i skierować swe wysiłki ku zachodowi, albo też szukać na zachodzie zdecydowanych sprzymierzeńców, by próbować wspólnie zahamować raz jeszcze napór rosyjski. W każdym wypadku powodzenie akcji, jak i niezależność od sprzymierzeńców zależała od siły wewnętrznej państwa polskiego. Dysponując tą siłą, mógł się naród polski spodziewać, że po przeczekaniu kryzysu koniunktury, będzie mógł rozpocząć swobodną i niezależną politykę.

Naród polski wybrał wówczas drogę trzecią. Nie chciał się pogodzić z istniejącym układem sił. Zignorował rzeczywistość. Trwał nadal twarzą zwrócony na wschód, przekonany, że tam właśnie dokona swej misji dziejowej, lecz trwał nieruchomo, nie robiąc nic, by przejąć inicjatywę, biernie broniąc się przeciw co raz to silniejszemu naciskowi.

Zapewne niesłuszne jest powierzchowne potępianie XVIII wieku. Naród polski powoli dopiero uświadamiał sobie wewnętrzną niemoc własną, zbierał siły do wielkiej akcji reformatorskiej. Cóż, kiedy wysiłki te nie szły zupełnie w parze z próbami zabezpieczenia sobie swobody inicjatywy na odcinku polityki zagranicznej. Na tym polu wiek XVIII jest nieprzerwanym okresem martwoty, okresem nerwowych i krótkowzrocznych chwytów, nie zaś jakichkolwiek przemyślanych politycznych poczynań.

„TESTAMENT" PIOTRA WIELKIEGO

Żaden naród nie godzi się szybko i łatwo z tak zasadniczą zmianą roli historycznej, jaka stała się udziałem Polski w w. XVIII. Nic więc dziwnego, że w początkach wieku XVIII polityka polska odznacza się chwiejnością. Rychło jednak stało się jasnym, że na osłabienie Polski czekały niecierpliwie trzy państwa: Rosja, Austria i Brandenburgia, każde węsząc dla siebie korzyści materialne, każde jednak w zasadzie nieufne i wrogie dwóm pozostałym wspólnikom.

Najsilniejszym z trzech współzawodników był bezwątpienia car rosyjski, największe były jego możliwości, największe ambicje. Był on więc najgroźniejszym z przeciwników, lecz też najpoważniejszym z kontrahentów. Dla niego bowiem jedynie przymierze z Polską mogło mieć efektywne znaczenie, dla każdego innego było raczej środkiem, niż celem.

Rosja Piotra Wielkiego, to przede wszystkim naród szykujący się po wielu ciężkich przejściach do marszu ku zachodowi, ku potędze na skalę światową. Wyciągała ona rękę ku źródłom cywilizacyjnym i kulturalnym, pozwalającym przeobrazić państwo jeszcze bardzo prymitywne w nowoczesne mocarstwo. Na drodze do zachodu stała Polska. Nie była ona jednak już dla Rosji groźnym przeciwnikiem, była przeszkodą. Przeciwnicy prawdziwi, przyszli przeciwnicy Rosji — to było tworzące się państwo pruskie i Austria. Jest rzeczą zrozumiałą, że w tym stanie rzeczy Piotr Wielki nie kwapił się wzmacnianiem swych przyszłych przeciwników przez podział Polski. Nie starczało mu jednak sił, by ją samodzielnie podbić i wchłonąć w swe imperium. To też zasadniczym celem jego polityki wobec Polski było wciągnięcie jej w obręb rosyjskich wpływów politycznych, ujęcie w swe ręce polityki polskiej i skierowanie Polski przeciw swym przyszłym wrogom. Zachowując w zasadzie integralność państwa polskiego, chciał uzależnić od siebie monarchów, stworzyć podstawy pod długotrwałe przymierze. Rzecz oczywista, za planem tym kryła się napewno nadzieja wcześniejszej, czy późniejszej aneksji Polski. Dawał nam jednak ten plan, objektywnie rzecz biorąc, historyczną szansę zmiany planów rosyjskich przy zmianie koniunktury politycznej. To była kwestia odrodzenia się sił wewnętrznych społeczeństwa.

Program polityczny Piotra Wielkiego próbowali kolejno realizować poszczególni władcy rosyjscy. Nie udał się on nikomu. Bierny opór polski udaremnił wszelkie szanse porozumienia, nie przeciwstawiwszy tej koncepcji nic innego.

Jeśli wahania Polski były usprawiedliwione do końca Wojny Północnej, o tyle po roku 1721 narzucała się sama przez się konieczność zdecydowania jednego kierunku — za, albo przeciw Rosji.

Względy psychologiczne przemawiały przeciw współpracy z Rosją, względy polityczne — za. Okres od 1721 do 1794, to najtragiczniejsze nieporozumienie historyczne, okres największych błędów, które poczyniły dwa narody sąsiedzkie. Jeśli by nie wziąć pod uwagę zasadniczych różnic psychologicznych, które nie tylko uniemożliwiały porozumienie, lecz wogóle rozumienie się wzajemne — okres ten naszych i rosyjskich dziejów pozostaje jednym wielkim nonsensem.

Wytłumaczony psychologicznie, pozostaje ten okres niezaprzeczonym błędem politycznym. Polska szła prosto ku utracie swej niepodległości, Rosja ku wzięciu na siebie ciężaru, którego udźwignąć nie zdoła — zadania zasymilowania Polaków. Katastrofa rozbiorów była wynikiem obustronnych błędów. Ze strony polskiej błąd polegał na bezrozumnym stawianiu oporu przeciw wszystkim możliwym współpartnerom politycznym. Im mocniejszy był opór monarchy i społeczeństwa, tym bardziej Rosja skłaniała się ku koncepcji podzielenia się Polską z Prusami i Austrią. Każde niepowodzenie militarne, czy dyplomatyczne rosyjskie kończyło się ostatecznie rezygnowaniem z wyłączności w stosunku do Polski, zmuszało Rosję do szukania pomocy u łakomych sąsiadów polskich. Zdławienie Konfederacji Barskiej opłacone zostało pierwszym rozbiorem, następny zwrot zaczepny polski, ukoronowany przemijającym sukcesem trzecio-majowym, stworzył ostatecznie nową koalicję rozbiorczą, insurekcja kościuszkowska była już tylko ostatnim etapem tej katastrofalnej równi pochyłej.

Ze strony rosyjskiej błąd polegał na działaniu wobec Polski takimi metodami, które tylko podniecały nastroje anty-rosyjskie. Brutalne mieszanie się rosyjskich rządów carskich w wewnętrzne sprawy polskie, narzucanie reform automatycznie odrzucanych przez społeczeństwo tylko dlatego, że chciała ich Rosja, utrzymywanie stanu bezwładu — oto zasadnicze przyczyny niepowodzenia misji wszystkich dyplomatów rosyjskich. Na dnie tych wszystkich posunięć tkwiła nie tylko tradycyjna niechęć do dawnego przeciwnika, lecz przede wszystkim przemożna nieufność, niewiara polityków rosyjskich, by Polska kiedykolwiek i w jakiejkolwiek dobrowolnej postaci mogła współdziałać politycznie z Rosją.

Obie strony postępowały więc tak, by uniemożliwić jakiekolwiek rozwiązanie kompromisowe, obie strony dążyły bezwiednie ku rozwiązaniu, które było w istocie obustronną katastrofą.

Okres 1721 — 1794 ,to najtragiczniejszy dramat, jaki może obserwować historyk, dramat dwóch narodów, pchanych siłą fatalną różnic psychicznych ku obopólnym klęskom.

OBUSTRONNE STRATY

Dzieje Polski i Rosji od trzeciego rozbioru do wojny światowej nie są niczym innym, jak dalszym ciągiem, konsekwencją obopólnego błędu, popełnionego w wieku XVIII.

Jest rzeczą charakterystyczną, że jakkolwiek w okresie rozbiorów Polska znajduje się podzielona pomiędzy trzy mocarstwa, to jednak dzieje Polski utożsamia się przeważnie z dziejami walki z Rosją. To nie jest pomyłka historyczna. Nie ulega wątpliwości z jednej strony fakt, że u genezy rozbiorów leży konflikt polsko-rosyjski, a z drugiej strony, że najwyższe napięcie walki porozbiorowej skoncentrowało się w Królestwie. Konflikt ten pozostawił najtrwalsze ślady w psychice polskiej, wokół niego obraca się cała twórczość artystyczna narodowa. W przekonaniu olbrzymiej większości narodu — od tej walki właśnie zależał byt lub nie byt całego narodu i państwa polskiego.

Zarówno Polska, jak i Rosja zużywa w tym okresie całą swoją energię dziejową na wzajemne pokonywanie się. Walkę tę ostatecznie, mimo wielu porażek, wygrywa Polska, odzyskując swój byt państwowy. Odrobienie jednak dziejowego błędu kosztuje nas nie tylko półtorawiekową niewolę, lecz kosztuje nas wyczerpanie gospodarcze, znaczny ubytek sił biologicznych, olbrzymie zapóźnienie w rozwoju politycznym i społecznym.

Cała energia narodu i państwa rosyjskiego wyładowuje się w w. XIX w ciągłej walce o wynarodowienie Polski, o utrzymanie zdobyczy terytorialnej, cała energia Polaków w odparciu tego nacisku. Walka ta, zajmująca umysły i siły witalne Rosji, w zasadniczy sposób zahamowała rozwój zarówno zewnętrzny, jak i wewnętrzny Rosji. Kto wie, czy gdyby nie ta walka, w mniej bolesnych okolicznościach, ustrój carski nie zawaliłby się szybciej. Poczucie bowiem konieczności utrzymania spójni pomiędzy Rosją a Królestwem dodawało blasku reżimowi carskiemu.

Walka ta w sposób zasadniczy powstrzymała rozwój Rosji w kierunku Europy. Za każdym razem, gdy ważyły się losy wejścia Rosji w szranki światowe, na przeszkodzie temu stawał szaleńczy, samobójczy bunt polski. Bunt ten, uśmierzany w strumieniach krwi, hamował jednak rozmach rosyjski. Tak było w roku 1794, gdy Polska związała poważnie siły rosyjskie, gotujące się do interwencji we Francji, tak było w r. 1830, 1863, 1905. Prawda, że wszystkie plany rosyjskie tego okresu pragnęły użyć siły przeciw ruchom postępowym, nie ulega jednak wątpliwości, że jakikolwiek kontakt z Europą, nawet wrogi, przyczyniłby się do przyśpieszenia procesu wewnętrznej emancypacji Rosji.

Cokolwiek złego można powiedzieć o znaczeniu politycznym emigracji polskiej, trzeba przyznać, że potrafiła stworzyć naokoło sprawy polskiej atmosferę moralnego napięcia w Europie. Jeśli napięcie to w niczym nie zmieniało polityki mocarstw, to jednak przesądzało stosunek społeczeństwa. To też Rosja w tym okresie była napiętnowana jako ciemiężyciel. Poczucie tego stanu rzeczy jeszcze bardziej oddalało Rosję od Europy, utrudniało dostęp postępu. Postępowość dla wielu Rosjan była więc jednoznaczna z brakiem patriotyzmu. Tragiczna walka zatrzymała rozwój Rosji.

Jakże nieliczni byli ci Rosjanie, z pod znaku Dekabrystów, czy „Kołokoła", którzy umieli dostrzec fatalną rolę walki polsko - rosyjskiej. Jakże nieliczni byli ci, którzy we właściwym zrozumieniu interesu obu stron żądali przekreślenia aktu rozbiorowego. Idealiści i romantycy! Krok był nie do odrobienia, gdyż to, co dokonało się przy udziale trzech mocarstw, nie mogło być przez jedno odrobione. To też carska Rosja śmiała się w twarz garstce marzycieli, cynicznie stwierdzając, że skoro rozbiory stały się faktem, to „kraj prywiślański" musi się stać „istinno" ruską ziemią.

Jedyną próbę znalezienia kompromisu dokonał Aleksander I, wskrzeszając Królestwo Kongresowe. Zbyt dobrze jeszcze miał w pamięci „testament" Piotra Wielkiego, by zbagatelizować problem polski. Nie starczyło mu jednak siły, by przezwyciężyć ślepą siłę, kierującą nieraz losami narodów. Na imię jej prestiż.

Rezultatem kompromisu pomiędzy prestiżem a realną oceną sytuacji była próba stworzenia niezależnego wewnętrznie państwa polskiego w unii personalnej tylko z Rosją przez osobę cara.

Fikcyjność tego kompromisu okazała się natychmiast. Państwo o ustroju konstytucyjnym nie może być ściśle złączone z mocarstwem o ustroju samowładczym i autokratycznym. Nie sposób było odgrodzić wpływy tak ściśle, by koncepcje wolnościowe nie przedostawały się do Rosji, a praktyki rządzenia rosyjskiego do Polski. Przy najlepszej nawet woli zrozumienia istniejących różnic psychologicznych i ustrojowych zarówno car-samodzierżawca, jak i jego namiestnicy, generałowie i urzędnicy, nie byli w stanie przystosować się do odrębnego klimatu. Nie nieporozumienia konstytucyjne, nie sądy, ani grubiaństwa Konstantego spowodowały powstanie listopadowe. Spowodowała je zmora obawy przed autokratyzmem cara, nienawiść do atmosfery, którą przynosili ze sobą jego przedstawiciele. Królestwo Kongresowe było potworkiem od urodzenia, nie zdolnym do normalnego życia. Katastrofa była nieunikniona.

Trwająca bez przerwy walka obu narodów przyczyniła się tylko do pogłębienia zasadniczych różnic psychicznych, wniosła tylko szereg nowych kompleksów. Przede wszystkim jednak dała Polakom przekonanie, że symbioza obu społeczeństw w żadnym wypadku nie jest możliwa.

PRZED PODNIESIENIEM KURTYNY

To, co stanowiło istotę stosunków pomiędzy Rosją a Polską w okresie 1919 — 1939, można nazwać swobodnie dziejowym antraktem. Kampania 1920 r., nie wdając się w jej genezę polityczną, jest najzupełniej oczywista od strony psychicznej. Jest niczym innym, jak oddźwiękiem poprzedniego okresu. Polska patrzyła na Rosję przez pryzmat swej wiekowej niewoli. Nie miała politycznego oddźwięku wyrażona wola nowej, komunistycznej Rosji o prawie Polski do samodzielnego, niepodległego bytu. Rozpoczęty przez Piłsudskiego marsz na Kijów, nie był wyrazem zdrowej i realnej oceny warunków politycznych, nie był przejawem zdrowej koncepcji. Wojna polsko-rosyjska 1920 r. miała być zabezpieczeniem przed Rosją w pojęciu historycznym — jednak bez realnej oceny rosyjskich zmian wewnętrznych.

Łatwe zwycięstwo stworzyło na lat dwadzieścia sztuczny stan nie istnienia, praktycznie rzecz biorąc, problemu polsko-rosyjskiego. Istniał on bowiem tylko potencjalnie, jako poczucie, że nieuchronnie kiedyś przyjdzie go rozwiązać. Aktualnie ograniczał się do poważnych nieraz napięć politycznych, nigdy jednak nie stawiał przed oczami społeczeństwa konieczności natychmiastowej decyzji. Pozwalało to snuć najfantastyczniejsze marzenia o przyszłości, zabarwione li tylko spuścizną przeszłości.

Rozdźwięki pogłębiały zasadnicze różnice ustrojowe. Polska w ciągu tych lat przeżywała okres wewnętrznego dojrzewania zapóźnionych problemów społecznych. Szykowała się do zmian, które miały nastąpić w najzupełniej innej atmosferze, niż ta, w której przeobrażała się Rosja. Ustrój sowiecki powstawał na tle specyficznych problemów rosyjskich. Znaczna część narodu polskiego, która inaczej przeżywała swój proces uspołecznienia, skłonna była traktować rzeczywistość sowiecką przez pryzmat dziejowy — to znaczy jako zasadniczo wrogą.

To wszystko wyjaśnia znacznie lepiej, niż zaglądanie w kulisy dyplomatyczne, postawę przeciętnego Polaka w okresie 1939 — 1944. Nie była to bowiem postawa jednolita. Składały się na nią: nieufność historyczna do Rosji, oraz w wielu wpływowych środowiskach obrona przed możliwością zagrożenia interesów klasowych przez rosyjski prąd przemian socjalnych.

Rok 1939 nie przyczynił się do rozładowania atmosfery. Przeciwnie, niezależnie od pobudek politycznych, które tymi krokami kierowały, trzeba stwierdzić objektywnie, że w roku tym z powodu niedostatecznej orientacji społeczeństwa w sytuacji politycznej, psychoza „rozbioru" odżyła wśród Polaków w całej pełni. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że gdyby udało się jej powodów wówczas uniknąć, zaoszczędziłoby to Polsce wielu późniejszych gorzkich doświadczeń. Historia ciążyła mocno nad tą epoką.

PARĘ TEZ ZASADNICZYCH

Wiele momentów naszej historii utrudnia istotny sojusz polsko-rosyjski. Racja stanu natomiast, której probierzem były dla nas wyniki II wojny światowej domaga się zakończenia tragicznego dla obu stron konfliktu. Trzeba zapisać na dobro obecnego rządu, że potrafił tej tezy bezapelacyjnie bronić. O ile jednak o sojuszu w sensie politycznym stanowią dokonane akty, o tyle o sojuszu w sensie społecznym, narodowym — stanowią nastroje. Nastroje te obecnie nie są jeszcze dostatecznie sprecyzowane. Dogłębne ich przeformowanie jest bezwątpienia jednym z najważniejszych zadań chwili obecnej. Stwierdziliśmy to już uprzednio na łamach naszego pisma. Jest zadaniem, dla dokonania którego trzeba będzie jeszcze dużo czasu, dużo wysiłku ze strony rządów i społeczeństw. By je wypełnić należycie, trzeba będzie się przede wszystkim odwołać do cierpliwości polityków, którzy nie zawsze rozumieją, że proces trwający wieki, nie da się odrobić jednym posunięciem.

W czasie wspomnianego bankietu w Moskwie, jak to relacjonuje prof. Kutrzeba, stawiając tezę przekreślenia przeszłości i budowania przyszłości obu narodów na zasadzie przyjaźni, generalissimus Stalin stwierdził, że nie dziwi się zupełnie, że słowom jego nie wszyscy uwierzą. „Ale wszyscy będą musieli uwierzyć faktom" — dodał.

Jeśli tak można było postawić sprawę wobec zebranych najprzedniejszych umysłów politycznych, czyż można się dziwić, iż istnieje w tej chwili jeszcze osad nieufności. Fakty docierają do przeciętnego obywatela znacznie wolniej, zniekształcone przez jego własne nastawienie.

Należy też dobrze zdać sobie sprawę, że odruchy wrogości i przejawy nienawiści, jakie ze strony niektórych czynników w Polsce odczuwa Rosja Sowiecka, przyczyniają się do pogłębienia i po tamtej stronie nieufności do dobrej woli Polski w utrwaleniu sojuszu.

Wierząc w najlepszą dobrą wolę Związku Sowieckiego, trzeba się i od niego spodziewać przede wszystkim zrozumienia genezy nastrojów.

Z drugiej strony trzeba stwierdzić, że wielu z pośród naszych przyjaciół ZSRR najczęściej postępują w sposób najzupełniej niewłaściwy, oddając sprawie, o którą walczą, prawdziwie niedźwiedzią przysługę.

Błędem zasadniczym jest wszelka próba sprowadzenia do wspólnego mianownika różnic kulturalnych i psychicznych obu narodów. Wszelkie próby udowodnienia tożsamości kulturalnej, wszelkie ataki przeciw zasadniczym filarom polskiej indywidualności historycznej — kulturze łacińskiej i chrześcijańskiej — traktowane są przez nieufne społeczeństwo jako ukryte ataki przeciw faktowi naszej odrębności dziejowej.

Wszelkie próby zaciemniania naszej historii, próby odwrócenia uwagi społeczeństwa od historycznego procesu konfliktu polsko - rosyjskiego mogą tylko powiększać, a nie umniejszać, istniejące kompleksy. Niczego nie wolno kryć, niczego nie wolno zacierać — wszystko należy tłumaczyć.

Sojusz pomiędzy narodami utrwali się wówczas, gdy wśród obu społeczeństw utrwali się wiara we wzajemne dobre zamiary rządów, gdy oba narody zrozumieją własną historię. To wielkie dzieło do dokonania.

Uwagi tu zawarte — to gorzka prawda. Jeśliśmy się zdecydowali na próbę jej przedstawienia, to czynilismy to z prawdziwą troską o przyszłość. Zwracamy się z nią narówni do polityków, jak i do całego społeczeństwa. Do polityków, by zrozumieli, jak trudnym i odpowiedzialnym zadaniem jest urzeczywistnienie postulatu sojuszu polsko - rosyjskiego. Do społeczeństwa, by zdało sobie sprawę z tego, że polska racja stanu, rzeczywistość polityczna i przyszłość wymaga zlikwidowania poczucia wrogości w stosunku do Rosji. Bez pełnej i powszechnej dobrej woli rozpoczęcia nowego okresu historii, dziedzictwo przeszłości może być ciężarem, do którego pokonania można niepotrzebnie zużywać cenne i żywotne siły polskie.

Wojciech Kętrzyński

Witold Bieńkowski

O ŻYCIU TRUDNYM

Bardzo charakterystycznym zjawiskiem dla obecnej społecznej pracy katolickiej jest fakt, że wielu działaczy katolickich uzależnia możliwości tej pracy od sytuacji politycznej. Widoczna postawa rezerwy w stosunku do rzeczywistości politycznej stwarza ten stan rzeczy, że katolicyzm społeczny znajduje się w wyraźnej defensywie. Taki stan rzeczy można lapidarnie określić jako wynikający z nieświadomej chęci zepchnięcia katolicyzmu do roli jednego z tych czynników społecznych, których istnienie i rozwój jest uzależniony od jakiejś specjalnej sytuacji politycznej, od jakichś zwycięstw i zdobytych pozycji politycznych.

Jeśli istnieje tego rodzaju rozumowanie — jest rozumowaniem fałszywym. Bo chociaż katolicyzmowi nie jest obojętne, czy aktualnie rządzące czynniki polityczne uznają uzależnienie porządku przyrodzonego od nadprzyrodzonego i czy prawodawstwo państwowe opiera się na nakazach i normach Prawa Boskiego — to jednak żadne stosunki społeczne, a tym więcej żadna koniunktura polityczna nie może stworzyć pozorów dla usprawiedliwienia opieszałości w katolickiej pracy społecznej.

Istotą społecznej pracy katolickiej nie jest ani nazwa, ani program takiej lub innej organizacji społecznej, czy politycznej, choćby w nazwie organizacji znajdowało się słowo „katolicka", a program był czystą społeczną interpretacją nauki Kościoła. Istotą społecznej pracy katolickiej nie może być nic, co dzieli, nic, co ustawia katolika przeciw katolikowi.

Aby zrozumieć istotę i sens pracy katolickiej wystarczy zdać sobie sprawę z tego prostego faktu, że dla Kościoła nikt nie jest bezpowrotnie stracony, że dla katolicyzmu społecznego przedstawia wartość (choćby ujemną) nawet ten katolik, który błądzi.

*

Napisanie tych prostych rzeczy jest w tej chwili najbardziej na czasie. Istnieją bowiem wśród katolików tendencje skierowane w dwóch kierunkach. Jeden z kierunków manifestuje społeczną postawę krańcowo czynną, pragnie odzyskać należne katolicyzmowi miejsce polityczne w Państwie, domaga się sprecyzowania punktów programowych, nie chce rzeczy ogólnych, ucieka od „zakrystyjności", w dziesiątkach listów krytykuje „bierność" i „słabość". Kierunek drugi nawołuje do świadomego cofnięcia się z pozycji społecznych, do wyłącznego zajęcia się sprawami pogłębienia wewnętrznego. Społeczny maksymalizm i minimalizm. Stany znane i przeżywane przez katolicyzm tylokrotnie w momentach rewolucyjnych przemian i reform społecznych.

Wydaje się, że oba kierunki są łatwe. Wynikają z chęci pójścia po najmniejszej linii oporu, jeśli idzie o społeczne zadania katolickie.

Nawet dzisiaj niełatwo jest przyjąć postawę trudną. Niełatwo jest bowiem zdobyć się na właściwą perspektywę patrzenia — i to patrzenia nie na sprawy i sytuacje minione, ale na kształtującą się przyszłość.

*

Aby móc stworzyć wewnętrzną dyspozycję do przyjęcia postawy trudnej, wydaje się, że należy przede wszystkim uwierzyć, że c o ś s i ę s t a ł o. Że obecnie przeżywane czasy przemian są pewnym realnym konkretem, że nie jest to zjawisko jakiegoś przypadku, które w pewnej chwili może skończyć się, minąć bez śladu i skutków. Że ten realny konkret przemian nie jest uzależniony od zewnętrznych — poza wolą ludzką i poza ludzką świadomością wewnętrzną — kataklizmów. Wystarczy uwierzyć w prawdę tego, co w allokucji z 7 stycznia 1945 r. stwierdził Papież Pius XII: „Konieczna reorganizacja świata nie może być prostym powrotem do tego, co było. Historia nie stoi w miejscu; biegu dziejów zatrzymać się nie da, historia ustawicznie prze naprzód ku postępowi, prawdziwemu lub tylko pozornemu".

Aby móc wytworzyć klimat dla nieuniknionej i jedynie twórczej postawy trudnej, trzeba przyjąć dalsze słowa Piusa XII z tejże allokucji:—„Trzeba liczyć się z nieuniknioną rzeczywistością — co jednak wcale nie znaczy, by ktoś miał spocząć, zadawalając się rolą biernego widza biegu wypadków, a tym mniej, by ktoś miał pozwolić porwać się ślepocie prądu, który może rzucić łódź na skały, lub porwać ją w przepaść. Prąd wód może być skanalizowany i skierowany ku pożytkowi człowieka".

*

Ocenić istotę przemian, to kwestia druga, choć nie drugorzędna. Słowa „rewolucja" i „radykalizm" nie wymierzają istoty tych przemian, jak nie wymierzają jej żadne osiągnięcia typu politycznego. Nowe formy ustrojowe, zmiana urządzeń społecznych we wszystkich jej konkretnych a znanych przejawach — są zaledwie tym widocznym efektem osiągnięć politycznych, poza którymi kryje się istota przemian, polegająca na woli i świadomości człowieka, pragnącego tych przemian, lub lękającego się ich.

Specjalny układ sytuacji politycznych nie wynika z tego, że ktoś jest mocny, a drugi słaby. Kataklizmy wojenne nie są skutkiem przypadku, a pokonany ostatnio imperializm niemiecki nie zwyciężał dlatego, że kierował jego siłą zaborczą Hitler ze swą zgrają.

U źródeł tych przemian, jak i kataklizmów, tkwią wielkie siły narosłych pragnień ludzkich. A wystąpienia tych sił tak samo nie są przypadkowe, jak nieprzypadkowo kierowane są losy ludzkości poprzez epoki.

Może ułatwić wyjście z postawy łatwej proste zapytanie: — kto nie chce przemian? kto reform nie pragnie?

Wydaje się, że jeśli istnieje wobec przemian i reform opór — to wynika on przede wszystkim z podświadomej bojaźni przed konsekwencją zerwania z życiem ułatwionym — przed życiem trudnym.

*

Oba wspomniane kierunki nurtujące wśród katolików zdają się liczyć na możność przetrwania. Jest bowiem rzeczą jasną, że stawianie na jakąś polityczną wypowiedź katolicyzmu, to chęć znalezienia drogi ku przeszłości. Trzeba wyraźnie podkreślić, że wszelkie próby politycznego konkretyzowania programów katolickich byłyby w tej chwili czymś bardzo wstecznym. Przyjmując, jako warunek, możliwości obecnych stosunków społecznych dla katolicyzmu.

Stosunki te bowiem nie kształtują się podług tego, że politycznym zwycięzcą chwili obecnej jest marksizm. Trudniejszy, a nie ułatwiony, sposób myślenia i oceniania rzeczywistości każe przede wszystkim zmierzyć społeczne siły katolickie, nim się do oceny sił obozu materialistycznego przystąpi.

Społeczne siły katolickie są albo rozbite, albo zdezorientowane. Na rozbicie sił katolickich wpływa ta sytuacja polityczna, która każe jakoby mobilizować własne siły, lub szukać oparcia dla katolicyzmu w obozie i ugrupowaniach anty-materialistycznych. Trudniejszy sposób myślenia oceni to, jako obciążenie polityką tego pozapolitycznego nurtu społecznego, jakim jest i być musi katolicyzm.

Z powyższego wynika zdezorientowanie katolików. Wynika nieporozumienie co do prawa politycznego ustawiania się katolików z ich obowiązkiem społecznej pracy katolickiej, która powinna być odciążona od jakichkolwiek powiązań koniunkturalnych.

To są sprawy także bardzo proste. Powiedzieć je trzeba przede wszystkim dzisiaj, aby nie ciągano katolicyzmu na wiece polityczne, aby nie szukano podparcia dla katolicyzmu u „najmniejszego zła ze wszystkich istniejących".

*

Kościół Katolicki w Polsce nie powoła i autorytetem swoim nie poprze żadnej partii politycznej. To jest pewne. Kościół Katolicki daje jednocześnie wyraz przez usta swych najwyższych Kierowników, jak się do obecnej rzeczywistości w świecie i w Polsce ustosunkowuje.

Prymas Polski, Kardynał August Hlond podczas przemówienia swego w dniu święta Chrystusa Króla w r. ub. powiedział: „Polska znajdzie w swym gorącym a chrześcijańskim patriotyźmie pogodzenie zdrowej rewolucyjnej treści czasu z wiarą ludu".

Zdrowa, rewolucyjna treść czasu i wiara ludu. Sądzić należy, że właśnie w tym zestawieniu znaleźć można motto dla programu prac katolicyzmu społecznego w Polsce.

Kościół Katolicki nie lubi rewolucji. Lęka się nie dla siebie, ale dla społecznego wyrazu katolicyzmu przemian i reform społecznych, które, wprowadzone systemem rewolucyjnym, osiągają politycznie swój wyraz konkretny wcześniej, niż rzeczywiste wewnętrzne przemiany w społeczeństwie się dokonają.

Kościół Katolicki i katolicyzm społeczny w jego czystej i doskonałej formie prawd i zasad nie sprzeciwia się dokonanym rewolucjom, jeśli są one wyrazem istotnych potrzeb reform socjalnych. Katolicyzm usiłuje ingerować w okresach poprzedzających rewolucję, aby rozładować napięcia zbyt krańcowe, aby przyspieszyć proces rzeczywistego, istotnego stawania się przemian. Aby przyszły one, jako wynik dążenia do sprawiedliwości.

I jeśli Przedstawiciel Hierarchii Kościoła Katolickiego w Polsce może dać wyraz przekonaniu, że Polska w swym patriotyźmie potrafi pogodzić zdrową rewolucyjną treść czasu z wiarą ludu, z katolicyzmem — jest zapewne świadomy istnienia, żywego istnienia, tych społecznych wartości katolicyzmu w Polsce, które stoją ponad koniunkturą, ponad polityką, a które gwarantują możność skanalizowania i obrócenia ku pożytkowi człowieka — jak mówi Pius XII — prądu tych wód, które niesie czas i epoka.

*

Są pojęcia, których się dostatecznie nie rozumie. Są takie pojęcia wielkie i małe. Do największych należy właściwa ocena sił katolickich w Polsce i ocena miejsca dla nich w nadchodzących dniach ustabilizowania nowych warunków życia.

Można z nieomylną pewnością stwierdzić, że miejsce dla katolicyzmu społecznego w Polsce jest uwarunkowane jego postępową żywotnością. Można powiedzieć, że nadchodząca epoka będzie epoką życia konsekwentnego.

I tu bodaj, po tym ostatnim stwierdzeniu, dojść można do poznania istoty życia trudnego. Nie warto jest dzisiaj bawić się w nietwórczy rewizjonizm. Trzeba tylko przypomnieć, że cały okres międzywojenny był w specjalny sposób jaskrawym dowodem życia niekonsekwentnego. Dotyczy to przede wszystkim katolików. Nie wpłynie na poprawienie ujemnego salda to, że okres międzywojenny był również okresem Akcji Katolickiej. Wręcz przeciwnie. Niezrealizowane społecznie założenia Akcji Katolickiej obciążają rachunek katolików tym, że o konieczności reform socjalnych tylko się deklamowało.

Dzisiaj realizatorami bodaj tych samych reform, o których mówił Pius XI w „Quadragesimo anno", są wyraziciele światopoglądu materialistycznego. Dynamizm i konsekwencja marksistów zdystansowały w wynikach tych, którzy w myśl wyznawanych, a praktycznie nie realizowanych zasad, winni znajdować się w pierwszym szeregu walczących o reformy społeczne.

Na słowa prawdy, skierowane do samych siebie, nigdy nie jest zbyt późno. Zwłaszcza, że wkład w istotne przeżycie i stawanie się przemian między innymi i w dużej mierze do katolików należy.

*

Pojęcie radykalizmu jest tak długo trudne do zrozumienia, jak długo istnieje niechęć do rozpoczęcia życia trudnego. Radykalizm wydaje się pojęciem bodaj tak samo niebezpiecznym, jak rewolucja.

Lub gorzej. Radykalizm, głoszony przez katolików, posiada posmak tragikomicznej sytuacji, gdyż wydaje się poniektórym, że przez głoszenie katolickiego radykalizmu będzie można znaleźć jakieś modus vivendi w obecnych „przeraźliwych czasach“ rewolucji.

Sprawa jest mniej prosta, zupełnie niekomiczna, a natomiast bardzo poważna. Rozróżnić bowiem należy wszelkie polityczne i zewnętrzne efekty radykalizmu od jego istoty. Niezrozumienie tego, czym jest radykalizm, już świadczy o jego braku w podchodzeniu do rzeczywistości, czy to społecznej, czy politycznej. Na temat radykalizmu można deklamować — można go rozumieć, będąc radykalnym.

I aby przebudować w sposób istotny, aby przyczynić się do stawania się nowej rzeczywistości i nowej epoki w dziejach Polski i świata — należy wnieść wartości radykalnego ustosunkowania się do tego stanu rzeczy, jaki był materią i terenem dla zachodzących rewolucyjnych przemian.

Powiedzmy prościej—wyznawane prawa moralności katolickiej i wywodzące się z nich katolickie zasady społeczne znajdowały się w porównaniu z socjalną rzeczywistością przedwojenną w takiej dysproporcji, iż każdy katolik, mając obowiązek wyciągnięcia w życiu wszystkich konsekwencji z wyznawanej wiary, musiał poprostu radykalnie ustawić się w stosunku do ówczesnej rzeczywistości społecznej. Musiał dążyć do radykalnej zmiany stosunków, do radykalnego unicestwienia proletariatu przez jego uwłaszczenie, do radykalnego sprawiedliwszego rozłożenia dochodu społecznego i t. d., i t. d., a wszystko w myśl wskazań papieskich encyklik społecznych .

I to znowu jest proste. Warte przypomnienia dzisiaj, gdy w wielkim planie zadań katolicyzmu społecznego musi leżeć chęć przyczynienia się, aby wszelkie zmiany i reformy społeczne ku rzeczywistemu pożytkowi człowieka były podejmowane.

*

Gdy się pragnie w najkrótszych słowach określić rolę katolicyzmu społecznego, nie sposób nie zaakcentować jak najmocniej, że w każdych warunkach i w każdych czasach katolicyzm społeczny musi być czynnie i bezpośrednio obecny.

Obecność katolicyzmu w czasach wielkich przemian, w czasach, gdy rzeczywiście, realnie i konkretnie coś się dzieje — musi być obecnością godną chwili, obecnością rzeczywistą, realną i konkretną.

Katolicyzm w defensywie — to katolicyzm skazujący się na klęskę. Katolicyzm w dysputach i polemikach akademickich — to katolicyzm usiłujący zaledwie ustalić jałowe formuły i wzory. Gorzej — to katolicyzm wkładający swój wysiłek twórczy w tereny nieistotne.

Rzeczywista i konkretna obecność katolicyzmu wyrazić się może w świadomym ujawnieniu nowych czasów, które będą zwycięstwem sprawiedliwości. W tym zwycięstwie katolicyzm zapisze najpiękniejsze karty swojej historii.

Witold Bieńkowski

Marian Jedlicz

Ziemia jest kulista

Tytuł powyższy jest plagiatem z Chestertona. Nie ściągnięty wprawdzie dosłownie, ale — powiedzmy tak — wydedukowany dość prosto z jednego fragmentów jego znakomitej „Obrony niedorzeczności“.

Chestertonowska „Obrona niedorzeczności“... jest ewenementem dość szczególnym. Książka poświęcona obronie rzeczy najzwyklejszych w świecie i przeto powszechnie spostponowanych. Książka to dziwna. Z jednej strony intelektualistycznie wyrafinowana, a zarazem prosta jak chleb razowy.

*

Oto broniąc rzeczy najzwykleiszych w świecie, owych pogardzanych kopciuszków naszej kultury, mówi Chesterton o pokorze.

Definicja — jeśli się można tak wyrazić — pokory jest bardzo prosta. Daje ją Chesterton opisowo. Wygląda w streszczeniu mniej-więcej tak:

Jeżeli patrzę na małe żuczki, poruszające się w trawie i jeśli patrzę na nie, rozumiem, że jest to wielka sprawa, owe kłopoty i prace żuczków w trawie i jeśli wobec tego misterium przyrody sam czuję się mały, to to jest właśnie pokora. A nie jest pokorny ten, kto nie czuje wielkości żuczków w trawie.

*

W tej samej książeczce znajdujemy rozdział: „Obrona planet“. Z niego to właśnie kradnę mój tytuł. Chesterton broni tam tezy, że ziemia jest kulista. — Tak Właśnie, tej prawdy najprostszej, że ziemia jest kulista. Jakiś oryginał angielski napisał broszurkę, w której tezę tę kwestionował. Ale mniejsza o tego dziwaka.. Książeczka musiała być wydana własnym sumptem owego gentelman'a i prawie nikt jej chyba nie czytał. I dziwak ów dał tylko bodźca. Ale nie przeciwko niemu zwraca się Chesterton w swej gorącej obronie. Zwraca się przeciw olbrzymiej większości mieszkańców naszej planety, bo naprawdę tylko zupełnie nieliczni ludzie pamiętają i wierzą rzeczywiście, że ziemia jest kulista. Przecież widzimy ją płaską i ten realizm bezpośredni rozstrzyga sprawę. Aby dojść do prawdy, że jednak jest kulistą, trzeba by przezwyciężyć realizm materialnej rzeczywistości bezpośredniego otoczenia. A trudna to sprawa.

*

W innej książce Chestertona: „Niedowiarstwo Ojca Browna“ wypływa problem wiary w cuda. O. Brown nie daje się nabrać sprytnym oszustom, którzy dla zatuszowania afery kryminalnej chcieliby sugerować zjawisko nadprzyrodzone. I bardzo są zdziwieni: Jakto Mr. Brown jest księdzem katolickim: Mr. Brown nie wierzy w cuda. Odpowiedź brzmi: Wierzę w cuda naprawdę dlatego nie wierzę w oszustwa.

Nie jest cudem, że ziemia jest kulista. To fakt przyrodniczy. Fakt bardzo zwyczajny, jak i żuczki w trawie. A przecież, przyjąć go naprawdę, uwierzyć naprawdę, że ziemia jest kulistą, jako fakt i dla naszego życia realny, oznaczałoby chyba istną rewolucję.

Proszę pomyśleć: Płaski teren dokoła domu stanowi centrum tego światka, a my centrum domu. Teraz nagle ów cały świat staje się małym wycinkiem wielkiej wypukłej powierzchni gdzie my siedzimy okrakiem, jak muchy na pomarańczy. Horyzont przestaje być sufitem naszego pokoju, a staje się widomym znakiem rozpościerającej się nad nami nieskończoności. I gdzież się wtedy podzieje nasz realny, nasz niewzruszony egocentryzm?

Wypowiadając: ziemia jest kulista, rozpoczynamy pierwsze ogniwo łańcucha myśli. Chwytamy dalsze ogniwa, prowadzące intelekt nasz w dalsze zawrotne perypetie kosmiczne. I wreszcie myśl się gubi. Stajemy na granicy...

I tutaj wnioski mogą być różne. Można przejść próg nowej rzeczywistości, gdzie ustaje empiryzm i obowiązują zupełnie inne kategorie. Nie dla każdego oznacza to kropkę nad i. Można też progu i nie przekraczać. Ale pewne jest: Na tej granicy zaczyna się niewiedza i zaczyna się pokora... A to jest niemal wszystko. Kto zrozumie sens mlecznej drogi i naprawdę zobaczy nad sobą mgławicę gwiazd, ten zrozumie także i sens żuczków, biegających w trawie — Żuczki i mleczna droga zleją się w jedną całość, pełną ogromnego sensu. I proszę mi darować, ale... to już będzie nawrócenie.

*

O. Brown nie dał się nabrać, bo wierzył w cuda prawdziwe. Przez cud rozumiemy interwencję świata nadprzyrodzonego w prawa przyrody. Ale, czy potrzebuje czekać cudów uchylających prawa przyrody, kto widzi siłę nadprzyrodzoną poprzez prawa przyrody, jak to widział Franciszek z Assyżu. I naiwne jest wprowadzanie jakichkolwiek tez apriorycznych, poza-empirycznych do nauki w przyrodzie. Przyroda ma tylko krytyczny empiryzm. Ale misterium tkwi w samych prawach przyrody. Ale wolne badanie duchowe i wolne poznanie nasze, czyż nie są zjawiskiem równym jak cud?...

*

I widzę złośliwe uśmiechy intelektualistów z pod znaku materializmu i przewiduję różne jadowite słówka z filozofii ciężkiego kalibru. Odpowiadam: Pozwólcie, Panowie, innym razem. Nie można rozsadzać ram tych refleksji. Na kobyłę filozoficzną na ten temat pozwolimy sobie innym razem.

A jeśli już koniecznie trzeba kłaść łopatą do głowy, to precyzujemy. Spojrzenie chestertonowskie odkrywa wspaniałość prawdy i przez tę wspaniałość widzi coś więcej.

„Incerta et oculta sapientiae tuae manifestati mihi“. Od Chestertona uczmy się patrzeć i widzieć.

Katarzyna Woźniakowska

ŚRODA POPIELCOWA

Są dwa rodzaje optymizmu: U podłoża jednego z nich leży bezmyślność i ukryty w niej pesymizm. W tym stanie rzeczy lada przeciwność zamienia cielęcą radość w ponurą rozpacz, a lada powodzenie ponurą rozpacz w cielęcą radość.

Drugi rodzaj optymizmu buduje się na wierze i na głębokim, uzasadnionym tą wiarą przekonaniu, że Dobro zwycięży. Ten optymizm przetrwa wszystkie burze, wszystkie ruiny, wszystkie cierpienia. To nasz optymizm katolicki. Wierzący katolik nie może być pesymistą, a człowiek niewierzący nie może być prawdziwym optymistą.

Pamiętaj człowieku, że prochem jesteś i w proch się obrócisz.

Te słowa, wypowiadane w liturgii Środy Popielcowej są niezaprzeczalną prawdą dla każdego: wierzącego i niewierzącego. Prawdą, która dociera do samej istoty ludzkiego istnienia, która zmusza do zastanowienia się nad treścią życia. Prawdę przyjmowaną przez człowieka niechętnie, z oporem i przykrością.

Więc skądże nagle, już po czterdziestu dniach te radosne „Alleluja“, którymi rozbrzmiewać będzie Kościół? Niekonsekwencja, zmiana nastroju, czy krótka pamięć? Otóż nie. Chodzi tylko o to, że te same słowa inną mają treść dla wiary, a inną dla niewiary.

Człowiek niewierzący uważa to „obrócenie się w proch“ za koniec wszystkiego i wyciąga stąd wnioski i konsekwencje zależne od stopnia moralności na którym stoi. Jednym krańcem będzie tu hedonizm, drugim altruizm i poświęcenie życia dla społeczeństwa, jako przedmiotu względnie długo trwającego. Człowiek zawsze ciągnie do tego, co trwałe.

Niezależnie od stopnia moralności człowieka niewierzącego i niezależnie od konsekwencji wyciągniętej przez niego z perspektywy „obrócenia się w proch“, cel jego życia choćby bardzo wzniosły, jest zawsze przesiąknięty głębokim pesymizmem, jaki daje człowiekowi poczucie skończoności.

Pamiętaj człowieku, że prochem jesteś i w proch się obrócisz.

Zupełnie inne znaczenie mają te słowa dla człowieka wierzącego. Ten proch, nie jest ostatecznym stadium naszego życia, te słowa nie są maksymą dźwięczącą pesymizmem, ale są przypomnieniem i przestrogą.

Przestrogą może surową, wypowiedzianą w sposób prosty, bez obwijania w bawełnę. Jesteś prochem — więc nie masz czym się chełpić, bo wszystko i nawet to, że jesteś tym prochem, jest ci dane z góry. W proch się obrócisz — więc musisz idąc przez życie, zdobywać takie wartości, które są trwałe. Jeżeli będziesz żyć tylko ciałem, to cóż ci pozostanie, kiedy to ciało zamieni się w proch? Będzie już wtedy za późno na ratowanie zapomnianej duszy.

Ale nie zostajemy bez pomocy i mówi nam o tym cała liturgia środy popielcowej: jest Bóg, który czeka na pojednanie, na naszą skruchę, który daje nam czas na nią i wyciąga do nas pomocną rękę. A z nami razem prosi Ojca o przebaczenie Chrystus na Krzyżu i z tego Krzyża spływa na nas nieskończona wartość Jego zasługi. Z Nim umierając, mamy prawo z Nim zmartwychwstać, mamy podstawę do tego radosnego „alleluja“ i uzasadnienie naszego optymizmu.

Pius Parsch zauważył, że nasze czasy w obliczu śmierci nie odczuwają ani entuzjazmu pierwszych chrześcijan, ani bojaźni średniowiecza. Trudno stwierdzić, czy rzeczywiście w średniowieczu bardziej obawiano się śmierci niż dziś, niewątpliwe jest jednak to, że tak jak człowiek średniowiecza był bardzo przeniknięty myślą o śmierci, tak człowiek doby obecnej nie lubi o niej myśleć. (Patrz Misterium Christi rok VIII nr. 3).

Oczywiście, obcy nam jest ten prymitywny gatunek strachu, obawiającego się tak charakterystycznie w śmiesznych dziś dla nas „kostusiach“, znajdowanych na malowidłach w starych podhalańskich kościółkach.

Jednak to nie zwalnia nas z obowiązku słuchania głosu Kościoła, który przez uroczystość Popielca pragnie zbudzić dusze ze snu obojętności na początku Wielkiego Postu. Nie zwalnia nas od zastanowienia się przynajmniej raz do roku nad tą niezaprzeczalną prawdą:

Pamiętaj człowieku, że prochem jesteś i w proch się obrócisz.

Chodzi tu nie tyle o zastanawianie się nad problemem śmierci, co przede wszystkim o uczciwe przemyślenie treści życia. O wyciągnięcie z tych rozmyślań wszystkich konsekwencji, jakie one przed nami postawią, począwszy od poważnego i myślącego wejścia w okres liturgiczny Wielkiego Postu, skończywszy na pełnym optymiźmie katolickim całego życia i pogodzie ducha dnia codziennego.

Lucyna Pruszyńska

Miasto moich marzeń

Gdy rzeczywistość mnie gniecie,
dokuczy żółwi bieg zdarzeń
na błyskawicznej rakiecie
jadę do miasta mych marzeń.

Jak w niebie — w kraju swobodnym —
gród — do Warszawy podobny —
lecz wszystko tu jest inaczej;
tu nigdy nikt nie jest głodny
i nigdy nikt już nie płacze.

Zła przeszłość jest już spalona,
i okupione przewiny,
więc ludzie są prawi, prości
jak pierwsze chrześcijańskie gminy.

Kawałkiem dzielą się chleba,
z ducha i czynów pobożni —
dziesięć im sukien nie trzeba,
bo sercem szczodrem są możni.

Nawet mróz nie jest tu ostry.
Bez form i megalomanii
są tylko: bracia i siostry,
jak w Częstochowskiej kompanii.

Przez zaludnione ulice
pod rękę chodzę z swym synem,
którego pięknem się szczycę
w ubraniu odświętnem, nowem —
z każdym przechodniem — nim miniem
dzielimy się dobrem słowem.

Po drodze — Cóż to za mniszek?
Ach, to z kościelnych zagłębień
wyszedł sam święty Franciszek
i karmi białe gołębie.

W teatrze chórem o raju
anielska rewia dziś śpiewa...
Ach, w moim cudownym kraju
fruwają kwiaty i drzewa.

Popłyńmy dalej, mój Synku,
na skrzydłach własnych bez trudu:
Wkrótce Pan Jezus na rynku
będzie przemawiał do ludu.

Odrzuci piekło i kary,
tylko nas będzie miłował,
bo nikt Go u nas dla wiary
nie będzie więcej krzyżował.

Nasz dom — patrz, Synku kochany:
jak biały gołąb w zieleni
i Żeromskiego „dom szklany“
w tęczach słonecznych się mieni.

I w każdym tu pięknym domu
niema suteryn, poddasza,
nędza nie grozi nikomu,
bo glob — to wspólnota nasza.

Czasami znów samoloty
(Już nie śmiertelne szarańcze)
w darze z braterskiej ochoty
zrzucają chleb, pomarańcze.

Sam Pan Bóg w tym kraju ślicznym
jest bardzo demokratycznym:
mieszka w gotyckim kościele,
przyjmuje w dzień i niedzielę
bez podań, przepustek, kartki,
a nawet bez sekretarki — —
i biedaczyna z pod płota,
jeśli mu przyjdzie ochota,
o wszystko prosić Go może
i powie Mu: — „O, Mój Boże...“

Jan Dobraczyński

STALINGRAD

fragment powieści p.t. „Najeźdźcy"



Kapitan Wolff Schneditz zeszedł po pokrytych lodem schodach w dół, wcisnął się w wąski i niski otwór drzwi, by dotrzeć wreszcie wilgotnym korytarzem aż do piwnicy, która mu służyła za mieszkanie. Całonocna służba zmęczyła go okropnie, Rosjanie atakowali ich kilkakrotnie, wzmacniając swe natarcie skoncentrowanym ogniem artylerii. Udało im się wedrzeć do narożnego domu, a raczej pod stos gruzów, stanowiących jakby kopiec grobowy wielkiej sześciopiętrowej kamienicy i wyprzeć stamtąd miotaczami ognia niemiecką załogę. Po upadku narożnika, oznaczonego na planie miasta literą N, trzeba się było cofnąć i oddać nieprzyjacielowi około 200 metrów ulicy. Dopiero nadejście dwóch nowych kompanii zatrzymało sowiecki atak na najbliższej przecznicy.

Szary świt zastał ich na nogach, wsparnych w gruz z kolbami karabinów przy szczękach, z dłońmi przymarzającymi do broni. Z daleka widzieli lodowisko Wołgi. Suchy, mroźny powiew szczypał twarze i wywoływał dreszcze.

Z oparów nocy poczęły się wysuwać pierwsze strzały słońca. Ale był to blask złudny — nie przynosił bowiem ani ciepła, ani światła — tylko jakąś rudo-ponurą aureolę, która była udręką dla ich przemarzniętych ciał i pełnych niepokoju serc.

Wolff zapaliwszy świecę, zdjął biały hełm i zastąpił go miękką czapką. Potem ściągnął z siebie biały kitel. Więcej niczego nie zdejmował; w omrożonej piwnicy musiało być wiele stopni poniżej zera.

Żołnierz przyniósł mu chleb i kawę.

To oficera wprawiło w dobry humor. Parząc wargi pił łapczywie, a wypiwszy poczuł jak mu krew żywiej krąży w żyłach.

Był zmęczony, spać mu się jednak nie chciało. Raz rozsiadłszy się na stołku nie miał ochoty wstać nawet po to, aby się przenieść na łóżko. Ściągnął tylko rękawice i raniącymi się od odmrożenia palcami począł szukać papierośnicy.

Piwnica była mała i ciemna, pachniało w niej wilgocią i stęchlizną. Okienko w górze było zasłonięte workiem z piaskiem. Umeblowanie kwatery składało się ze stołu, dwóch stołków i tapczanu.

Świeca paliła się spokojnie, dym z papierosa płynął w górę wąską smużką. Na ścianie przed Wolffem wisiało kilka kart pocztowych z widokami Wiednia, oraz fotografie pucołowatej panienki. To była Hedda. Zaręczył się z nią ostatniego lata, podczas dwutygodniowego urlopu. Rodzice Heddy posiadali restaurację, którą pragnęli przekazać mężowi swej jedynaczki. Był więc i obiad zaręczynowy — zresztą odbyty w skromnym tylko kółku rodzinnym, aby nie budzić zgorszenia i nie pokazywać nikomu, że oprócz towarów kartkowych, można jednak jeszcze zjeść gęś i prawie przedwojenny pasztet. Tracili się kuflami piwa. Przyszły teść, równie pucołowaty, jak i jego córka, zapewniał z wylaniem, że niech się już wreszcie raz to wszystko skończy, to młodzi będą mogli zamieszkać u nich i o nic się nie troszczyć. On już im da utrzymanie. Wolff będzie mógł sobie malować obrazy, jeżeli go to bawi — i kochać żonę. Potem otrzyma restaurację, co mu przecież nie powinno chyba przeszkadzać w uprawianiu sztuki. Będzie mógł robić jednocześnie i to i tamto. Nieprawdaż, chłopcze?

Zupełnie się z tym zgadzał. Hedda była miłą, serdeczną dziewczyną, która patrzyła weń jak w słońce. Czegóż mógł chcieć więcej? Trzeba było jednak pecha, że jego samolot podczas ataków na przeprawiających się przez Wołgę Rosjan, został uszkodzony i przymusowo lądował na lotnisku stalingradzkim. VI-ta armia była już wówczas otoczona, ale to chwilowe osaczenie nikogo nie przejmowało. Scherer mógł wytrzymać zeszłej zimy w Starej Rusie trzy miesiące, dlaczegóżby oni nie mieli wytrzymać tutaj dwa razy tyle? „Stuki" Schneditza uruchomić, nie było można. Zaś okazji do zabrania oficera brakło. Samoloty przylatujące przywoziły żywność i amunicję — odlatując zabierały rannych. Potem nagle wojska sowieckie przypuściły gwałtowny szturm i zdobyły lotnisko. Niektóre samoloty próbowały jeszcze lądować w polu, kończyło się to jednak przeważnie katastrofami. W końcu urwał się kontakt lotniczy i Wolff musiał objąć stanowisko zwykłego oficera liniowego piechoty aż do czasu, gdy będzie mógł powrócić do swoich.

Choć nawykły tylko do walki lotniczej, Schneditz i tutaj dawał sobie dobrze radę ze spadłymi nań nagle obowiązkami dowódcy batalionu. Nie mógł ich jednak spełniać równie beztrosko, jak jego koledzy. Ci byli święcie przekonani, że otoczenie jest tylko chwilowe, trzeba więc tylko przetrwać do czasu, aż swoi przerwą pierścień wroga, a wtedy na obrońców spadnie deszcz awansów, krzyżów i odznaczeń. Zafascynowani tą wiarą nie widzieli strat, ponoszonych przez broniącą się armię. Trwali w walce, przekonani jak alpinista Tartarin, że niebezpieczeństwo, które ich otacza, jest tylko pozorem, który może być w każdej chwili usunięty. Natomiast Schneditz znał położenie daleko lepiej. Wiedział, że mur otaczających VI armię Rosjan jest gruby i z dniem każdym grubieje. I on nie stracił jeszcze wiary w to, że pomoc nadejdzie. Ale kiedy nadejdzie? W poczuciu grożącego niebezpieczeństwa myślał z pełną tęsknot serdecznością o narzeczonej.

Papieros zgasł. Wolff nie zapalił go na nowo. Sięgnął za łóżko i wydobył stamtąd gładką deskę, do której przypięty był arkusz kartonu. Na tym to papierze oficer szkicował od paru dni obraz, którego pomysł zdawna już nosił w głowie. Teraz szkic postawił przed sobą i począł mu się uważnie przyglądać.

Obraz przedstawiał zbocze górskie, spadające stromo wprost od patrzącego ku mrocznym dolinom. Droga biegnąca wzdłuż zbocza w dole przechodziła w skręty i zakosy, gubiąc się wśród rumowiska głazów. Zaledwie zaznaczone na rysunku kilkoma szczegółami dno doliny tchnęło opuszczeniem i martwotą. Może nawet czymś więcej. Było to pole niewidzialnej walki i niewidocznej—choć dającej się wyczuć klęski. Nad nimi wisiał ciemny opar, którego koloryt odpowiadał kolorytowi nieba nad Stalingradem, zasnutego dymem, pyłem miażdżonych domów i mroźno jaskrawym blaskiem rudawego słońca. Bliżej ku przodowi obrazu, niebo wypogadzało się. Słońce, rozlewające swój blask w przezroczystym powietrzu świeciło, zda się, wprost na obraz. Tam gdzieś był szczyt i tam była wiosna.

Ku temu szczytowi zdążał, idąc wprost ku patrzącemu, sznur ludzi. Pierwsze ich szeregi wyszły już po za obraz, ostatnie gubiły się jeszcze na dole. Drugi wąż idących zstępował w dół. Widać było tylko plecy ludzi, zgarbione ramiona obwisłe ciężko, gestem beznadziejnym ręce, schylone głowy. I jedne i drugie sylwetki były zaledwie zaznaczone, lecz w samym zarysie postaci widać było pełen rozmachu i szczęścia poryw tych, co zmierzali ku słońcu i tragiczną apatię tych, którzy zstępowali w mrok.

Na pierwszym planie mijali się jacyś ludzie i dwóch z nich spojrzało właśnie na siebie. Głowy zwrócone ku sobie, wypowiadały wyrazem twarzy kierunek drogi. Zaznaczona tylko charakterystycznymi kreskami twarz człowieka w szeregu wstępującym w górę, była twarzą samego Wolffa. Pogodna, gładka, prawie chłopięca twarz pokryta blaskiem zapału, nawet szczęścia. Spojrzenie w bok nie zmieniło jej wyrazu; nawet odwrawszy wzrok od blasku, ten człowiek był w blask wpatrzony. Pewno nawet nie widział tamtego, ku któremu zwrócił głowę.

Inaczej człowiek z szeregu zstępujących. Miał on także rysy Schneditza, ciężki podbródek, równe, o głęboko wyżartych kątach czoło, spokojne piwne oczy. Ale w tym obliczu nie było harmonii. Wzrok z niepokojem wpijał się w twarz mijanego sobowtóra, wygięte usta zdawały się mówić o przeżywanej tragedii.

Obaj ludzie szli i tylko w przelocie zwrócili ku sobie głowy. Widać było, że żaden z nich nie stanie — żaden stanąć nie może. Za chwilę się rozejdą, by się już nigdy nie spotkać. Jest to ich ostatnie spotkanie, lecz chyba nie pierwsze...

Wolff długo patrzył na dzieło swych rąk, potem znowu zasunął je za łóżko. Zdjął zegarek z ręki i położył go na rogu stołu. Wyciągnął się na łóżku, owijając się kocem. Dmuchnięciem zgasił świecę.

Leżał spokojnie, usiłując zasnąć. Przez szparę koło zatykającego okno worka wśliznęła się do piwnicy smuga blasku. Teraz, gdy jego zmysły zanurzały się w próżnię snu i tylko zmysł słuchu czuwał, oficer słyszał — choć tego prawie słyszeć nie było można — łomot dział na powierzchni ziemi. Były to jakieś bezgłośne wstrząsy, od których dom, wznoszący się nad piwnicą, drżał i kołysał się, przenosząc targnięcia się aż do trzewi piwnicy.

W końcu zasnął. Ale nie długo pozwolono mu spać. W dwie godziny później zgłosił się w piwnicy oficer służbowy z wezwaniem na odprawę do dowódcy dywizji.

Wróciwszy z odprawy, Wolff siadł znowu przy stole i zapalił papierosa. Armaty biły bez przerwy, domem trzęsły dreszcze. Goniec odcinka przyniósł wiadomość, że Rosjanie, przy użyciu czołgów przełamali linię niemiecką o trzysta, czy czterysta metrów od stanowiska batalionu Schneditza i teraz wykańczają otoczonych piechociarzy. Na skutek odkrycia flanki trzeba było podnieść ze snu zluzowaną po nocnej walce część batalionu i wzmocnić nią lewe skrzydło, aż do czasu, gdy obiecana przez dowódcę odcinka pomoc nadejdzie. Wolff wyszedł z piwnicy i stojąc w załomie roztrzaskanej bramy obserwował biegnącą do walki kompanię. Jej dowódca, porucznik Krumpel przechodząc, zameldował się swemu dowódcy.

— Cóż tam, panie kapitanie, prędko nas odetkają?

— No... nie wiem.. — Wolff twardo przełykał ślinę — nie wiem...

— Bo już, do cholery, mogliby się nami zainteresować.

— Pewno... Ale niech pan idzie do kompanii... Boję się, że na was zwali się bolszewickie natarcie.

Porucznik odszedł, Schneditz stał oparty o ceglaną kolumnę wzdłuż rozdygotanej od strzałów ulicy. Pytanie Krumpelta zaskoczyło go. Właśnie przed godziną na odprawie usłyszał coś zupełnie innego; sytuacja beznadziejna. Na pomoc nie liczcie. Musicie się jednak bronić do ostatniego żołnierza...

Działko przeciwpancerne zaszczekało kilka razy w sąsiedztwie — może się rozpoczął atak czołgów? Batalion Schneditza był obecnie w trudnej sytuacji. Linia pozycji, którą miał za zadanie bronić, biegła wzdłuż zabudowań fabryki cementu, przecinała ulicę, mały skwer, drugą ulicę i tu powinna się była kończyć na dużym, mało stosunkowo zniszczonym domu narożnym. Na skutek jednak upadku sąsiadującej z batalionem Wolffa dywizji rumuńskiej, trzeba było zatkać lukę między tym właśnie narożnym domem a kompleksem budynków garażowych. Z rozbitej jednostki przeszła do batalionu Schneditza kompania piechoty chorwackiej — wystarczyć jednak nie mogła dla zatkania wyłomu. Nawet wspólnie z kompanią Krumpelta stanowiła słabą tylko zaporę.

Wolff przemknął się szybko przez pełną świstów ulicę i wszedł na skwer. Śnieg tu leżał głęboki. W środku skweru porobione były leje dla karabinów maszynowych przeciwlotniczych.

Jakieś postrzępione słupki sterczały z ziemi. Wolff nagle uświadomił sobie, że są to podarte przez pociski drzewka. Spod śniegu wyglądała żelazna krata ogrodzenia.

Za skwerem była znowu ulica. Zanim ją przekroczył, pokazał mu klęczący pod murem podporucznik rozbity u wylotu czołg sowiecki.

Wszedłszy między stos gruzów Schneditz natknął się nad Krumpelta. Porucznik obserwował przez lornetkę ruchy piechoty nieprzyjacielskiej.

— Co się tam dzieje?

— Podciągają... Atak murowany. Jeśli nie teraz, to w nocy.

— Jak się sprawiają Chorwaci?

— A wie pan, że dobrze. Umieją się bić. Tylko, że ja to nie lubię patrzeć na te słowiańskie gęby.

— Tak?

— Gdyby nie to, że nam służą, miałbym ochotę kazać naszym maszynkom pociągnąć po nich.

Krumpelt był wielki, tęgi, barczysty. Miał rudą czupryne i rudy zarost. Wiekiem przewyższał o wiele Schneditza — (w piechocie nie można było równie szybko awansować, jak w lotnictwie) — no

i miał tę również przewagę, że był zawodowym oficerem. Dlatego też, choć uznawał nad sobą dowództwo tego spadłego z nieba pilota, robił to z nieukrywaną niedbałością.

— A cóż było na odprawie? — zagadnął Wolffa.

— A właśnie przyszedłem, aby panu opowiedzieć... Kazali to zresztą ogłosić żołnierzom. Sytuacja ciężka... bardzo ciężka. A jednocześnie rozkaz: bronić się do ostatniego żołnierza.

Krumpelt parsknął krótkim śmiechem.

— Bujdy!

— Dlaczego bujdy?

— No, panie kapitanie,. przecież w to nikt nie uwierzy. Sytuacja ciężka? może beznadziejna? Bujdy. Że ciężka — to my wiemy sami. Ale że nas odetkają — to także wiemy.

— Licho wie...

— Co pan mówi? My przecież wiemy dobrze: gdyby nas naprawdę nie mogli odetkać, toby się do tego nigdy nie przyznali. Prawda?

Wolffa zaskoczyło rozumowanie Krumpelta.

— Ano... może i tak...

— Niech mi pan wierzy, że tak. Ja jestem stary wróbel. I nasi żołnierze też stare wróble. To samo będą mówili. Byczé chłopaki. Zaczęliśmy wojnę od zdobywania Warszawy. Pamięta pan? „Festung nach Warschau...“. Diabła tam „Festung“. Taka sama forteca, jak i nasz kochany Stalingrad. Ale bronili się... Lubię, jak się Polacy, czy Rosjanie bronią. Kiedy ich można zabijać tysiącami. Tylko żeby oni nie byli silniejsi. Bo wtedy „rizat budu“...

Spoza zaśnieżonego rumowiska gruzu, zza pogiętych szyn żelaznych i rur wodociągowych wynurzyła się biała sylwetka żołnierza. Sina twarz podwiązana była chustką, ciemne oczy lśniły groźnie. Żołnierz podszedł do oficerów.

— Pan porucznik Hölder melduje, że Rosjanie wyraźnie szykują się do ataku na nas. Podciągają czołgi.

— Dobrze. Powiedzcie panu porucznikowi, aby meldował o wszystkim, co spostrzeże.

Żołnierz zniknął wśród leżących na ziemi bloków, polepionych wapnem cegieł, powyrywanych ze ścian zwalonego domu. Obaj oficerowie zapalili papierosy.

— O, tak właśnie Warszawa wyglądała, gdyśmy do niej wchodzili. Kupy cegieł, wiszące nad głowami, osmolone ściany, sterczące z ziemi żelastwo...

Krumpelt powrócił do swych wspomnień. — Przyznam się panu kapitanowi, że lubię patrzeć na ruiny. Czuję wtedy w sobie siłę... Nie ma chyba milszego uczucia, jak świadomość, że wszyscy są słabi, a my najmocniejsi.

— Piękną rzeczą jest siła... — bąknął Wolff, zajęty rozcieraniem zmarzniętych policzków.

— Defilowaliśmy w tej Warszawie przed Führerem. Naturalnie na ulicy nie było żywej duszy. Tu i tam jeszcze się domy dymiły. Na chodnikach były groby. Czuliśmy, że Polska została złamana...

— A cóż potem wasza armia robiła? — pytał Schneditz.

— Potem braliśmy udział w kampanii francuskiej. Łamaliśmy front belgijski. Ah — znowu szło się po ruinach. Cośmy tych domów narozbijali trudno policzyć. Pamiętam w jakimś mieście stali ludzie i beczeli, widząc jak się miasto paliło. Śmieliśmy się z nich...

Nieustanna strzelanina, która się rozlegała wśród gruzów olbrzymiego miasta, nie zwracała ich uwagi. Doświadczonym uchem umieli odróżnić zwykłą nękającą pukaninę, którą prowadziły bez chwili przerwy obie strony od niepokojącego natężenia ognia dział i karabinów maszynowych, gdy rozpoczynało się natarcie.

— W Jugosławii was nie było?

— Nie. Siedzieliśmy w Polsce, aż do czasu wojny z Rosją. Dobre to były miesiące odpoczynku: człowiek miał do żarcia masło, jaja, słoninę, bo chłopi wszystko dawać musieli. Niechby nie dali. Kulą w łeb by jeden z drugim dostał. Zato w 1941 r. poszliśmy na Budiennego. W Kijowie, jak pan kapitan wie, trafił „herzschlag“ Reichenaua. No i od tego czasu dowodzi nami Paulus.

Wolff bez uwagi przysłuchiwał się słowom Krumpelta. Właściwie nic go nie obchodziła historia walk VI-tej armii. Był zmęczony, powieki ciążyły mu kamieniami. Nie było rzeczy, która by go mogła w tej chwili poderwać do życia. Nawet wspomnienie Heddy.

— Pan kapitan zasypia na stojąco — posłyszał głos Krumpelta.

Otrząsnął się z morzącego go snu i z dreszczów zimna, które trzęsły całym jego ciałem.

— Rzeczywiście. Wie pan co? Nie ma sensu, abyśmy teraz obaj czuwali, kiedy na odcinku spokój. Uderzenie nastąpi nie wcześniej, jak popołudniu, albo może i w nocy. Do tego czasu przedrzemiemy się obaj na zmianę. Ja teraz pójdę, a o dwunastej pan. Zgoda?

— Doskonale, panie kapitanie.

Znowu po przez pełną świstów ulicę, zaśnieżony skwer i drugą ulicę doszedł do muru fabryki cementu. Wzdłuż muru zawędrował do rozbitego domu mieszkalnego, w którego piwnicy znajdowała się jego kwatera. Zeszedł na dół, rzucił się ciężko w całym oporządzeniu na łóżko.

Ale senność go odeszła. Leżąc w ciemnościach słyszał wyraźnie dwa pukania — serca i zegarka, które się rozlegały w pokoju. Był już pewny, że żaden ratunek ich nie zbawi. Żołnierze naturalnie nie będą wiedzieli. Może to i lepiej... Może lepiej myśleć równie prymitywnie, jak oni, trwać w otępieniu, poddawszy się biernie rozkazom i wierząc tym rozkazom...

Nie żałował Heddy, nie żałował tego wszystkiego, co mu obiecywało małżeństwo. Bez współczucia myślał o rodzicach, gdy się dowiedzą, że najmłodszy z synów poległ wśród gruzów Stalingradu. Myślał z żalem o jednej tylko rzeczy — o swej sztuce...

Ona była dla niego zwidem, ku któremu próżno przedzierał się poprzez okropności wojny. Ona mogła być dla niego całym życiem. Stała się natomiast udręką.

Wejście ordynansa z menażką wyrwało go z tych rojeń. Zwlókł się z łóżka i począł jeść wolno, rozkoszując się ciepłem zupy. Płomień świecy drżał od jakichś niedostrzegalnych podmuchów. W ścianach chrzęścił osypujący się tynk.

Odesłał Krumpelta na odpoczynek i sam począł się kręcić po odcinku. Godziny płynęły rozpaczliwie wolno. Lecz ciągłe meldunki i obserwacje wysuniętych czujek mówiły o przygotowaniach po stronie wroga. Żołnierze kolejno grupkami szli na obiad do cementowni. Wracali zadowoleni, ocierając usta rękawem białego płaszcza. Nie czuli niebezpieczeństwa, które się czaiło. Nie myśleli o niczym. Piosenka, którą nucili, była równie bezmyśina, jak ich twarze:

Schwarzbraun ist die Haselnuss
Schwarzenbraun hin auch ich, auch ich
Schwarzenbraun muss mein Madel sein
Gerade so wie ich...

Kompania, mieszcząca się w piwnicach cementowni, miała najlepiej. Żołnierze leżeli na ziemi i drzemali. Czuwały tylko posterunki, wyglądające przez powybijane otwory.

— Zaśpiewajcie coś weselszego — powiedział Schneditz, znudzony tęskną melodią rozlegającej się piosenki.

Zaśpiewali ze sztucznym patosem pieśń von Schiracha:

Vorwärts! Vorwärts! schmettern die hellen Fanfaren
Vorwärts! Vorwärts! Jugend kennt keine Gefohren...

Tak samo patetycznie śpiewali, wkraczając do Wiednia. Wolff stojąc wtedy na ulicy — uczeń w krótkich spodenkach— witał ich oklaskami. Był przekonany, że to połączenie dwóch państw niemieckich otwiera wielką dobę przyszłości.

Ist das Ziel auch noch so hoch
Jugend zwingt es doch-

Porywała go ta pieśń wówczas. Porywała go także siła kroczących batalionów. Świadoma siebie siła.

Nnsere Fahne flattert uns voran,
In die Zukunft ziehn Mann für Mann.
Wir maschieren für Hitler durch Nacht und durch Not...

— Jak dziś przebiega przez głowę oficera. Lecz dlaczego?

...mit der Fahne für Freiheit und Brot...

Tylko dla tego? Opadają ręce. Freiheit... Tej wolności zdobywać nie muszą. A chleb...

Unsere Fahne ich die neue Zeit.
Und die Fahne führt uns die Ewigkeit.
Ja! Die Fahne ist mehr als der Tod...

Schneditz spojrzał za siebie, tam, gdzie na budynku hotelu łopotała czerwona flaga z krzyżem Wehrmachtu. I nagle ogarnęło go zwątpienie. Czy warto było walczyć, aż tak zacięcie — o nic? O pustkę? O chleb i „Lebensraum“? Bez myśli o pięknie? W tępym porywie burzenia i niszczenia? W ukochaniu ruin?

Godziny płynęły, płynęły, płynęły. Wolno obracały się wskazówki zegarka. Wieczór się zbliżał...

Ten wieczór — wiedział o tym dobrze — zadecyduje o wszystkim.

Z pierwszym zmierzchem na posterunek wrócił Krumpelt. Wolff poszedł do swojej piwnicy.

Zapalił wszystkie świece, jakie posiadał. Dla kogóż miał je teraz oszczędzać? Zdjął ze ściany fotografię Heddy, wyciągnął jej listy i spalił to wszystko starannie. Wydobył zza łóżka szkic swego obrazu. Chciał go zniszczyć. Lecz niedokończone dzieło ciągnęło go ku sobie, więc zamiast je drzeć, począł szkicować sylwetki ludzi obu szeregów. Potem wydało mu się, że czegoś w tym obrazie brakuje — coś nie odpowiada prawdzie. Długo szukał błędu. Wreszcie zrozumiał. To rumowisko głazów, ku któremu schodzili jedni, a od którego odchodzili drudzy, nic mu nie mówiło. Starł szkic w tym miejscu. I nagle z całą pasją zaczął rysować. To już nie była tam w dole dzika dolina górska. Obraz się zmienił. Droga wiodła teraz w dół do miasta-ruin. Do potrzaskanych domów, osmalonych kominów, zerwanych balkonów, pogiętych rur, do chrzęszczącego parkietu z pobitych szyb... Do ruin Warszawy, Rotterdamu, Belgradu, Stalingradu, do ruin Kolonii, Emde Esse... Do ruin rodzinnego Wiednia...

Drzwi od piwnicy otworzyły się z trzaskiem. Wbiegł zdyszany żołnierz.

— Bolszewicy rozpoczęli atak!

Nie potrzebował nawet tego mówić. Bo przez niedomknięte drzwi nawet tutaj w głąb piwnic wdarł się ryk bijących dziesiątków dział, straszny, wstrząsający, śmiertelny. Schneditz wybiegł, nie zamykając drzwi za sobą. W piwnicy został tylko na stole nieskończony szkic i sześć świec palących się spokojnym, żałobnym blaskiem...

Jan Dobraczyński

Wśród książek i wydawnictw

Kraków Przybyszewskiego

Kraków w dobie Przybyszewskiego, „Młodej Polski“, „Zielonego Balonika“ i „Michalikowej Jamy“! Nie wiem, czy na wszystkich, ale na mnie ten tom felietonów*) Boya robi — właśnie dziś — duże wrażenie. Ten świat jest przecież taki inny, ten Kraków — choć przyznajmy, że wiele cech dawniejszych po dziś dzień zachował — taki jednak obcy przeżywanej rzeczywistości. Ludzi, opisywanych przez Boya, prawie nie znamy. Śmiejemy się, gdy o nich pisze, drapiemy się w głowę z podziwu, że tak mogło być — a w rezultacie słuchamy wszystkiego, jak miłej bajki o żelaznym wilku.

Mimo to książka robi wrażenie. Przede wszystkim dzięki pióru Boya. Co tu dużo gadać — stanowisko Boya potępialiśmy wielokrotnie; do dziś stwierdzamy, że jego „Dziewice konsystorskie“ i cały ten „piekłokobiecy“ problem był i do dziś dnia jest tragedią Polski. Zawdzięczamy mu nie jeden chyba promil spadku przyrostu naturalnego. A mimo to musimy powiedzieć, że jest to pisarz o niebywałym wdzięku — (zresztą tym niebezpieczniejszy), pisarz, który jest nie tylko historykiem krakowskiej cyganerii, ale jej, w dużej mierze, motorem i przedstawicielem.

Poza tym: patrzymy na Kraków jaki był. Patrzymy na Kraków na tle zjawiska, nieco podobnego do tamtego, który stworzył ruch młodopolski. Powstanie warszawskie i spalenie Warszawy rzuciło na bruk krakowski całą prawie inteligencję polską. Dla śpiącego miasta powstały niebywałe warunki kulturalnego rozwoju. Kraków miał szansę odegrania po raz drugi roli myśli i serca kraju. Prawda, że ludzi na miarę ówczesną nie ma. Nie posiadamy Wyspiańskiego, Matejki, Malczewskiego. Ale może i dlatego ich nie mamy, że brak jest klimatu dobrego Krakowa, w którym tak dobrze rozwijały się talenty.

Tak, czy inaczej — ciekawą jest rzeczą zobaczyć Kraków z epoki, gdy mimo swej „zaściankowości“, potrafił być wielki, i to zobaczyć od strony kulis — bo Boy, gdy opisuje, to zawsze nie „od przodu“, ale „od tyłu“.

Dziś — inny jest Kraków. Pamiętam go z niedawnych dni zjazdu literatów. Niewątpliwie — o wiele mniej przetrąbiło się wtedy alkoholu, niż za czasów Przybyszewskiego, nikt po knajpach nie chodził, nikt nikogo nie gorszył, nikt nikogo nie „epatował“. Minęły czasy wielkich miłości, wielkich ludzi, polujących „na wielkie tragedie“, wielkiego pisma, wielkich przedstawień. Wszyscy byli szaro-zieloni (zieloni, bo dużo było na sali kurtek żołnierskich). Krzyczał wprawdzie Putrament na Kurke, ale tak naprawdę, to i Putramenta i Kurke nie wszyscy w Krakowie znają.

Zresztą może tak jest i lepiej, i napewno jest lepiej. Z całej przybyszewszczyzny, gdy rozwiały się opary alkoholu, zostały tylko — wspomnienia Boya. Ze zjazdu krakowskiego — ponieważ był wolny od oparów — może coś się narodzi. A choćby się nic nie narodziło, zostanie przecież wielki gest pojedynku o rzeczy najważniejsze — gest, którego wzorem pozostanie postawa Borowego.

Bądź co bądź — warto przeczytać książkę Boya, zgrabnie wydaną i zilustrowaną.

Paweł Ciepliński

*) Tadeusz Boy-Żeleński „Znasz li ten kraj?“, wyd. „Czytelnik“, Kraków, 1945 r., str. 251.

Stefan Nosek. Słowianie w pradziejach ziem polskich. Kraków, 1946. Nakładem Spódzielni „Pomoce i Urządzenia Szkolne“, z 14 mapkami i 132 rycinami w tekście, str. 166.8. Cena 120 zł.

Wykładowca prehistorii na Uniwersytecie im. Curie-Skłodowskiej w Lublinie dr. Nosek napisał tę książkę, która jest pomyślana jako lektura wprowadzająca i uzupełniająca przy nauce historii w szkole średniej. Przedstawia ona w krótkim, zwięzłym zarysie zagadnienie praojczyzny Słowian i rozwój ich kultury na ziemiach Polski od czasu wyodrębnienia się z większej grupy Indoeuropejczyków aż po świt czasów historycznych oraz początki kultury polskiej w świetle wyników ostatnich badań polskiej prehistorii, jak zaznacza autor we wstępie. Dla wyjaśnienia musimy dodać, że prehistoria w ujęciach programowych Min. Oświaty będzie nauczana w 3 klasie szkoły powszechnej oraz prawdopodobnie w szkole średniej, jako wstęp do naki historii powszechnej. Nie trzeba być pedagogiem, aby zrozumieć, na jakim poziomie odbywać się ma nauka prehistorii w szkole powszechnej. Będzie tu prawdopodobnie mowa o tym, jak żył człowiek prymitywny w jaskiniach, jak polował i zbierał sobie pożywienia, jak rozniecał ogień i t. d. Zwróci się też prawdopodobnie uwagę ucznia na pozostałości po okresie prehistorycznym, w okolicy rodzinnej wsi ucznia, a więc na grodziska, kurchany i t. d. Jest to bardzo dużo w porównaniu z programami przedwojennymi, ale nie wystarczająco. W obecnym układzie stosunków potrzeba, by było coś więcej, coś bardziej pełnego, co nie sposób wtłoczyć w umysłowość ucznia 3 klasy szkoły powszechnej. Trzeba by było dać coś więcej, zapoznać ze specyficznymi metodami badawczymi tej nauki, które by dały zrozumienie i wytłumaczenie, jak należy w terenie zachowywać się w razie przypadkowych odkryć pod warstwą orna stanowisk prehistorycznych w postaci skarbów, cmentarzysk, czy śladów osadnictwa. Uświadomienie i zrozumienie tych podstawowych czynności, to właściwa postawa ideowa mieszkańca wsi w współpracy nad ochroną i konserwacją zabytków odkrytych przypadkowo razem z odpowiednimi czynnikami w zakresie konserwatorskim i badawczym w Polsce. Tej roli nie spełni nauka prehistorii w niższych klasach szkoły powszechnej. Dla przykładu tylko należy wspomnieć, że słynna osada bagienna w Biskupinie, należąca do k. łużyckiej, została uratowana dla nauki dzięki uświadomieniu miejscowego nauczyciela, który w porę doniósł o tym właściwym czynnikom. Z przykrością musimy dodatkowo stwierdzić, że okupant u siebie rozwiązywał tę sprawę o wiele pomyślniej, a bogata literatura pedagogiczna, jaka w Niemczech w zakresie wprowadzenia prehistorii do szkoły, powstała, świadczy dobitnie o mistrzowskim podejściu do tego zagadnienia wraz z kłamliwym i destrukcyjnym osławionym przodownictwem germańskim na terenie dorzecza Odry i Wisły na czele.

Nwagi powyższe notujemy na marginesie książki dr. Noska. Dalecy jesteśmy od metod wychowawczych, stosowanych w zakresie nauczania prehistorii u „narodu panów“. Tym niemniej stwierdzamy konieczność racjonalnego podejścia do młodzieży szkolnej do tego zagadnienia. Książka dr. Noska ma spełnić między innymi to zadanie w stosunku do młodzieży gimnazjalnej, względnie do nauczyciela szkoły powszechnej. Omawia ona całokształt stosunków kulturowych od młodszej epoki kamienia aż do 12 wieku. Jakkolwiek wykład skomplikowanych zagadnień na przestrzeni czasów prehistorycznych jest przeprowadzony jasno i zrozumiale, to mamy i pewne zastrzeżenia natury zasadniczej. Pierwsze — to sprawa nomenklaturowa. Stoimy na stanowisku zupełnej obiektywizacji. Nie jest w naszym przekonaiu słusznym nazywać kulturę przedłużycką i trzciniecką protosłowiańską, a k. łużycką prasłowiańską i w ten sposób stawiać kropke nad i. Jest to osobisty pogląd autora. Trwający od dość dawna spór naukowy między poznańską i warszawską szkołą prehistoryków pogodził częściowo ostatnio prof. Lehr-Spławiński w swej doniosłej pracy, wydanej w ostatnich tygodniach. Nie jest k. łużycka w jego mniemaniu ani prasłowiańską, ani illyryjską, ani celtycką w znaczeniu etnicznym, ale jest ona współ-

n dla tych trzech grup plemiennych c z y n e m k u l t u r o w y m, który zczepiony na rozmaitych, choć pokrewych sobie podłożach, wywołał wykryizowanie się t r z e c h tak ważnych dziejach Europy grup plemiennych. r. 103). Myślimy, że wartość emocjona tego zagadnienia nie ucierpiała by, byśmy nomenklaturami szafowali barej oględnie i nie wprowadzali do dytyki rzeczy, które nie są jeszcze oparna niezbitych pewnikach naukowych. t to pierwszy zarzut, który stawiamy orowi. Drugi, to brak rozdziału, który należało umieścić, naszym zdaniem, końcu książki, omawiający metody serwacji i badań prehistorycznych laika, jakim jest bezwątpienia nauciel i uczeń szkoły średniej. Chodzi o jaśnienie, jak należy się zachować wo- zabytków nieruchomych (np. grosk) oraz ruchomych, przypadkowo odtych, by świadomie ratować od zagłatak cenny dla nauki materiał. Nie dość ć pojęcie o prehistorii, trzeba umieć iadomie współdziałać nad o c h r o n ą bytków w terenie z czynnikami konwatorskimi tak, aby także nie pomniejć przez nierozsądny krok w polu istotwartości przypadkowo odkrytych stawisk, które się „konserwuje" często rt gorliwie, a zarazem po dyletancku, ed przybyciem fachowca i w ten spoczyni się kardynalne błędy nieraz do powetowania dla nauki. Apel autora w awie ochrony zabytków w terenie, zarty we wstępie do niniejszej książki, czyni w naszym przekonaniu zadość n podstawowym problemom. Są to dwa adnicze zarzuty, które stawiamy autowi. Po za tymi wyżej wymienionymi zutami książka dr. Noska, oprócz paru istotnych dla całokształtu usterek, czy edów, jest pozytywnym osiągnięciem autorskim i wydawniczym. Min. Oświaty winno uznać ją, jako książkę niezbędną w bibliotece szkoły średniej. Na szczególne uznanie zasługuje bogaty materiał ilustracyjnyc oraz szereg mapek oraz dwie tablice chronologiczne, które są jeszcze jednym plusem tej nowej pozycji bibliograficznej, tak bardzo na czasie.

J. Ant.

Na rocznicę Kościuszkowską

W związku z „Rokiem Kościuszkowskim" i obchodem dwusetnej rocznicy urodzin Tadeusza Kościuszki, ukazała się w druku inscenizacja Stanisława Iłowskiego „Przysięga Kościuszki". Broszura zawiera prócz tekstu inscenizacji również omówienie historyczne oraz uwagi dla reżysera, omawiające cztery różne możliwości realizacji, a to: jako widowiska na wolnym powietrzu, jako obrazek sceniczny, jako reportaż sceniczny i jako słuchowisko świetlicowe. Ryciny i opis kostiumów ułatwią zarówno zespołom ludowym, robotniczym, szkolnym, jak i świetlicowym realizację tego utworu.

Cena egzemplarza wraz z przesyłką 12 zł.

Wysyłkę uskutecznia Towarzystwo Teatru i Muzyki Ludowej — Warszawa, ul. Reja Nr 9.

Autorów i Wydawców, którym zależy na umieszczeniu recenzji w naszym piśmie, prosimy o nadsyłanie egzemplarzy recenzyjnych.

Ostrze na ostrze

Styl i metoda

Z radością przestałbym pisać o „Kuźnicy". Temat mało przyjemny i — a la ngue — dosyć nudny. Ale tak dużo mó- tam o metodologii, że trzeba powieć słowo o ich metodzie.

Niezmiernie pod tym względem charakterystyczna jest napaść awk i żk na ndauera i Wykę.

Sandauer powiedział: „...w treści wyżają się rzeczy, zamierzone przez auto- w formie natomiast jego cechy natulne i niejako mimowolne..."

Wyka uprościł sprawę dosyć prymitywie i przez to fałszywie: „...nie wybiera stylu. Ten jest dany".

„Panowie z „Kuźnicy" zadrżeli w posach — i nuże bronić polskiej kultury. zaleństwo... Brednia i ignorancja... Groy symptom..." (A jednocześnie drukują do redakcji, w którym jakiś stryjaek Aureli rozprawia się ze swoim branakiem Ludwikiem, dosłownie tak: „O cacany bubku z MSZ! O ty lizybu- e!"... O kulturo...!).

Jakże łatwo można było uniknąć tego ylowego rwetesu. Wystarczyło zajrzeć choćby do podstawowej rozprawki T. ilewskiego „O zakresie i przedmiocie adań stylistycznych" (Język Polski, XIV). Cytuję: „Twory językowe... wywołujące w nas reakcje uczuciowe, mogą być albo dziełem spontanicznych procesów psychicznych, i wtedy są przedmiotem stylistyki lingwistycznej, albo też owstały one przy częściowym przynajmniej udziale refleksji i wtedy wchodzą w zakres stylistyki literackiej... Jeżeli stylistyka bada normy, regulujące wybór form językowych, posiadających te samą wartość semantyczną, to stylistyka lingwistyczna analizuje normy wyboru spontanicznego, nie obliczonego na efekt, a będącego jedynie wynikiem swobodnej gry asocjacji. Natomiast stylistyka literacka omawia normy wyboru świadomego..." Chyba dosyć jasne? Jednak na wszelki wypadek, jeszcze jeden cytat. Tym razem — Zygmunt Łempicki, który znalazł uznanie nawet w oczach żłka! „Styl jest czemś, co twórca nawet bardzo świadomy niekoniecznie tylko chce, ale poprostu musi, czemu się nie może oprzeć..."

Rzecz byłaby wyjaśniona. Ale na to trzeba odrobiny dobrej woli. Brak tej cechy jest bodaj czy nie najbardziej uderzającym rysem „Kuźnicy". Awk i żk nie chcą niczego wyjaśniać. Chcą się wyszumieć? Chcą olśniewać? Czy może — zaćmiewać? Nie wiem doprawdy, czego właściwie chcą. Z chorobliwą podejrzliwością wietrząc wszędzie „idealizm"(?), siadają przy byle okazji na wielkie konie — i piszą, piszą mętnie i długo, zaciemniając i rozdmuchując bez opamiętania sprawy, które wytłumaczyć można zwyczajnie i prosto.

Takiej metody nie uzdrowi żadna metodologia.

J. W. W.

Kronika kulturalno-naukowa

Od dłuższego czasu pewne koła w Polsce lansują konieczność przebudowy dziedziny naukowej pod względem badawczym, wychowawczym i ideowym. Głosy te acz pochodzą ze strony obozu materialistycznego, nie są pozbawione słuszności w pewnym zakresie. Dla czytelnika interesującego się tym zagadnieniem, przypominamy: artykuły Michajłowa w „Odrodzeniu", w których autor poruszył sprawę doniosłą instytutów badawczych wolnych od obowiązku nauczania, a więc przeznaczonych na pracownie, poświęcone wyłącznie nauce, a nie przeciążone balastem wychowywania młodzieży i kształcenia narybku naukowego. Dalej artykuły A. B. Dobrowolskiego i St. Żółkiewskiego, w których autorzy domagają się reformy szkolnictwa wyższego i nauczania w tym czy innym zakresie. Głosy te jednak były dotąd tylko echami właściwych pragnień, które w tym środowisku kurtują i wskazywały, że do gruntownego rozważania tej sprawy nie jesteśmy jeszcze przygotowani. Ostatnio ujmuje sprawę te ujęto w programie, czego wyrazem jest głos cytowanego wyżej prof. A. B. Dobrowolskiego, który w Nr 7 „Odrodzenia" ogłosił rapujący artykuł p. t. „O praktyczno- nauk niepraktycznych i potrzebie Ministerstwa Nauki". Autor apodyktycznie stwierdza: „naukę i związane z nią ści- instytucje i szkoły należy oddzielić od Min. Oświaty. Jest ono i bez departamentu nauki i szkół wyższych więcej niż innych ministerstwa przeciążone, — ma naprawdę za dużo roboty z opiekowaniem się całą resztą oświaty".

Stwierdza dalej: „jednak nie do innego ministerstwa, mniej obciążonego, należałoby przenieść naukę, ani łączyć jej z ministerstwem sztuki; wprawdzie sztuka jest nauce głęboko pokrewna, ale praktycznie zbyt odmienna.

Naukę i związane z nią instytucje szkoły należy wyodrębnić w osobne ministerstwo: Ministerstwo Nauki. Wszak drugi składnik kultury doczekał się już — i słusznie, bo jest równie ważny jak nauka, jeśli nawet dziś jeszcze nie równie doniosły — swego osobnego Ministerstwa Kultury i Sztuki. Powinna więc chyba i nauka doczekać się wreszcie swego własnego ministerstwa. To chyba jest aż nazbyt oczywiste".

Notujemy te słowa z obowiązku. Chcemy, by te zagadnienia tak ważne nie były zapomniane i przeszły bez echa u zdrowo myślącego społeczeństwa, które bierze odpowiedzialność za to, co jest i za to, co będzie. Chodzi o zrozumienie zadania nauki w nowoczesnym państwie i nadaniu jej roli takiej, jaką winna odgrywać w nowoczesnym społeczeństwie. Sprawa ta jest zbyt ważna, by ja interpretować w ramach tak wąskich, jak w tym miejscu. Dlatego wstrzymujemy się od dalszych komentarzy.

W trudnościach powojennych miesięcy przeszła bez echa 25-ta rocznica wytężonej pracy wydawniczej „Języka Polskiego", czasopisma popularno - naukowego, poświęconego szerzeniu kultury językowej w Polsce. „Język Polski" zaczął wychodzić w Krakowie w r. 1913, którego pierwszym redaktorem był R. Zawiliński. W skład redakcji wchodzili wybitni nasi językoznawcy i profesorowie: Łoś, Nitsch, Rozwadowski i Rudnicki. Druga wojna światowa spowodowana przez agresję niemiecką, przerwała chlubną działalność tego wydawnictwa. Już jednak w kwietniu 1946 roku pojawił się nowy zeszyt

dzięki zabiegom zasłużonego profesora Nitscha, którego zasługi cenimy nietylko my, ale także i zagranica, czego wyrazem było nadanie ostatnio przez Sorbonę doktoratu honoris causa. Pismo to nabiera dzisiaj szczególnego aspektu wobec wielkiego zagadnienia ustalenia właściwego brzmienia nazw miejscowych na ziemiach odzyskanych. Przypomnijmy sobie dyskusję na temat: Nissa czy Nysa?, Stargard a nie Starogard na Pomorzu Zachodnim, toczone zaciekle ubiegłego roku w prasie a zdamy sobie sprawę z powagi zagadnienia. Dla informacji musimy dodać, że Polska Akademia Umiejętności powołała do życia Komitet Nazw Geograficznych którego zadaniem będzie wydawanie orzeczeń, dotyczących poprawności brzmienia i formy nazw miejscowości na terenach zachodnich. Przypomnieć należy, że dotąd jedynym źródłem informatywnym jest w odniesieniu do Śląska „skorowidz gmin Śląska Dolnego i Opolskiego", wydany nakładem „Instytutu Śląskiego", zaś w odniesieniu do Pomorza Zachodniego i Ziemi Lubuskiej atlas księdza Kozierowskiego, natomiast spis miejscowości, dotyczący Warmii i Mazurów, nie został jeszcze w formie popularnej udostępniony. Sprawę tę rozwiąże dopiero w najbliższym czasie słownik, opracowany przez W. Chojnackiego, który ukaże się nieba- wem nakładem „Instytutu Zachodniego". Osiągnięcia autorskie i wydawnicze, które wymieniliśmy powyżej, będą w większej części pracami pojętymi z grubsza, dyktowanymi potrzebą chwili. W ślad za nimi muszą nastąpić szczegółowe badania onomastyczne, oparte na gruntownych dociekaniach różnych pokrewnych sobie gałęzi wiedzy, co jest zadaniem Komitetu Nazw Geograficznych, powołanego przez P. A. U. Nie sposób bowiem tysiące nazw geograficznych ustalić prawidłowo w tak krótkim czasie bez odpowiednich przygotowań. Cenne wykazy ks. Kozierowskiego oraz Chojnackiego w miarę postępu badań będą musiały ustąpić z czasem w szczegółach nazwom trafniejszym i bardziej rzeczywistym. Niejedna nazwa ulegnie rewizji, nim ostatecznie zostanie ustalona. Jak należy przypuszczać, odbiciem prac Komitetu będą rozprawki w „Języku Polskim". Będzie więc ten periodyk pouczającą lekturą dla wszystkich.

J. Ant.

Tygodniowy przegląd kulturalno-artystyczny

W ostatnim okresie sprawozdawczym miejsce afiszów, dotyczących imprez artystycznych, zajęły plakaty anonsujące bale. Godne to zastanowienia, jak młode pokolenie szybko zrzuca z siebie ciężar pozostałości wojennych.

Ubiegły tydzień przyniósł dwa koncerty (jak zwykle tego samego dnia 24.II, o tej samej porze), a mianowicie: w sali M. Rady Narodowej 4-ty Popularny Koncert orkiestry miejskiej pod dyrekcją O. Straszyńskiego, z udziałem Wiktora Bregy (tenor), poświęcony muzyce słowiańskiej (w programie Moniuszko, Żeleński, Statkowski, Noskowski i Czajkowski), oraz w sali Teatru Polskiego 1-szy Koncert Warszawskiego Zespołu Kameralnego. W niedzielę dnia 24 lutego — również przed południem, w Auli Konserwatorium odbyła się Akademia Studencka, zorganizowana przez rektora Konserwatorium Warszawskiego, prof. St. Kazurę. W audycji tej wzięły udział klasy skrzypiec — prof. J. Jarzębskiego, fortepianu — prof. Lefelda i śpiewu — prof. Kazury.

W związku z 28-mą rocznicą istnienia Armii Czerwonej nastąpiło w dn. 24 otwarcie wystawy w Muzeum Narodowym p. t. „Sztuka wojenna Armii Czerwonej", zorganizowanej przez Tow. Przyjaźni Polsko - Radzieckiej, a także odbyła się w Teatrze Polskim akademia z występami radzieckiego zespołu pieśni i tańca.

1-szy KONCERT WARSZ. ZESPOŁU KAMERALNEGO

Warszawa zyskała z kolei swój stały zespół kameralny, w skład którego wchodzą: Zofia Rabcewiczowa (fortepian), Henryk Gołębiowski (skrzypce), Mieczysław Szaleski (altówka) i Tadeusz Gocłowski (wiolonczela). Wprawdzie Mieczysław Szaleski przebywa w Łodzi, gdzie jest profesorem Konserwatorium, lecz na próby i koncerty będzie dojeżdżał do Warszawy.

W 1-szym koncercie nowoutworzonego zespołu wzięli także udział: Janina Hupertowa (mezzo-sopran) i Włodzimierz Mierzejewski (fortepian). Program zawierał kwartety fortepianowe Beethovena (op. 16) i Noskowskiego, oraz następujące pieśni na śpiew i altówkę z towarzyszeniem fortepianu: Haendla — Arioso, Brahmsa — Kołysankę (wykonano ją zamiast umieszczonej w programie Kołysanki Regera), oraz Rachmaninowa — Pieśń Gruzińską.

Warsz. Zespół Kameralny wywiązał się dobrze ze swego zadania. Choć jednak zasadniczo tworzy on nierozerwalną całość i powinno się o nim mówić tylko jako o całości, trudno nie wspomnieć o tym, że brzmienie fortepianu i altówki stoi gatunkowo na wyższym poziomie, niż brzmienie skrzypiec i wiolonczeli, którym brak głębi. Miękkość uderzenia i perlistość pasażów Zofii Rabcewiczowej przy równoczesnych odpowiednich różnicach dynamicznych dały idealne brzmienie fortepianu. Ogólnie biorąc, choć zespół jest dobrze zgrany, uderzała nikłość jego brzmienia (zwłaszcza słabo było słychać wiolonczelę), do której przyczyniła się nie mało zła akustyka sali Teatru Polskiego. Piękne pieśni w doskonałym wykonaniu Hupertowej i Szaleskiego wypadły bardzo szlachetnie. Wielka szkoda, że publiczność tak nie dopisała, dając jeszcze raz dowód małego zainteresowania się muzyką poważną. Koncert organizowało Centralne Biuro Koncertowe.

ŚRODA LITERACKA

Ostatni wieczór literacki przeniósł nas w atmosferę zupełnie odmienną, niż wszystkie wieczory dotychczasowe — atmosferę miłości do zwierząt.

Jan Szczepkowski, autor książki „Przez prerie i puszcze" (pamiętnik emigranta), jest jednym z tych nielicznych pisarzy, który twórczość swą opiera na stawieniu zwierząt i przyrody. Jego opisy nie są gołosłowne, lecz poparte obserwacją i doświadczeniem, które zdobył podczas swego bujnego życia. Jan Szczepkowski odczytał nam fragmenty z książki p. t. „Władcy kniei" (Obrazki Myśliwskie), tłumaczonej na język francuski, oraz dwie nowele — o psie i łosiu, drukowane przed wojną w „Kurierze Warszawskim". Fragment p. t. „Czaty na wilka" dał nam obraz myśliwego, który oczekując w ukryciu na zdobycz, wabioną trupem końskim, rozmyśla nad ludzkim brakiem miłości dla zwierząt, oraz nad celowością istnienia każdego zwierzęcia. Mimo „zdrowego" sądu swego sługi-prostaka: „Jak kto chce nas zeżreć, nie powinien żyć", myśliwy rezygnuje z nocnego polowania, zostawiając zgłodniałe wilki w spokoju. Choć słuszność leży po stronie autora, we fragmencie tym uderza zbyt narzucający się dydaktyzm. Ciekawsza jest forma nowel „Baltazor" i „Rabuś", w których autor nie uczy nas wprost miłości do zwierząt, lecz opisując je pośrednio budzi w nas tę miłość. Nowela „Rabuś" oparta jest na fakcie autentycznym, jaki miał miejsce na Wołyniu. Bohaterem jest pies, który pamiętając dobroć swej poprzedniej pani, wyratował z pożaru jej malenkie dziecko podczas nieobecności gospodarzy w domu, przez nikogo do tego nie nakłaniany. Dzieciątko znaleziono ukryte bezpiecznie w psiej budzie. W noweli „Baltazor" autor opisuje nam dzieje pięknego łosia, który przywędrował na Kurpie i złapał się w sidła zastawione na dziką zwierzynę. Z sideł tych uwolniła go po bohatersku młoda Kurpianka Kasia, która też zaprzęgnęła obłaskawić sobie okaleczonego poczciwca. Łosiem zaopiekował się także leśniczy, umieszczając go do czasu wyzdrowienia w pobliskim lesie. „Baltazor" (tak łosia przezwała miła Kasia) choć czujny i dziki, nie ucieka przed Kasią, swoją wybawicielką, która pokochała go szczerze. Ale oto na nieszczęście Kasia pokochała także chłopca, Piotrka. Szukając jej w lesie Pietrek zobaczył przypadkiem łosia. Nie wiedząc nic o miłości Kasi dla zwierzęcia, postanawia go zabić, aby zdobywszy w ten sposób grosz, tym śmielej uderzyć w konkury. Łoś pada pod jego strzałem. Lecz Kasia kocha więcej swego łosia niż Pietrka i rzuca mu te rozpaczliwe słowa: „Jakeś ty mógł, kajś ty sumienie miał?" Pietrek zostaje skazany za nieprawne upolowanie podlegającego ochronie zwierzęcia. Ale cóż Kasi z wyroku, gdy Baltazora już nie ma. Nowele Jana Szczepkowskiego, pisane prosto i szczerze, stanowią odpowiednią lekturę dla młodzieży. Może nie dają one wrażeń artystycznych, lecz przepełnione są prawdziwą miłością do zwierząt.

Wanda Bacewiczówna

Życie gospodarcze

Międzynarodowa kronika-gospodarcza

Liberalizm amerykański w teorii i w praktyce. Motywem przewodnim wszystkich wypowiedzi urzędowych przedstawicieli Stanów Zjednoczonych na temat wymiany międzynarodowej jest konieczność oparcia jej na zasadach liberalizmu. Jak wygląda jednak stosowanie tego programu w rzeczywistości? „Les Nouvelles Economiques" podjęły próbę konfrontacji tej teorii z praktyką na podstawie szeregu konkretnych faktów. W świetle przytoczonych przykładów wyniki mówią same za siebie.

Objęcie władzy przez Roosevelta w 1933 r. zapoczątkowało niewątpliwy zwrot amerykańskiej polityki handlowej w kierunku liberalizacji obrotów. Ówczesny sekretarz stanu, Cordell Hull, przeprowadził w kongresie znaną ustawę o pełnomocnictwach, upoważniającą prezydenta do redukcji stawek celnych do 50% przy zawieraniu traktatów handlowych, opartych na wzajemności, a w następstwie rozmiary wymiany między Stanami a zagranicą wydatnie się wzmogły. Uzgodniona między Ameryką a W. Brytanią karta „handlu międzynarodowego", niedawno temu ogłoszona przy okazji zawarcia układu pożyczkowego, stanowi próbę generalizacji tych zasad. Niemniej

stosowanie ich w praktyce przez Amerykę od samego początku natrafiało na liczne trudności.

Wynikały one w pierwszym rzędzie z postawy licznych kół gospodarczych amerykańskich, które nigdy się nie pogodziły z pełną realizacją idei Roosevelta i Hulla i potrafiły z całą bezwzględnością bronić swych interesów partykularnych, nie wiele się troszcząc o ogólne interesy gospodarki amerykańskiej, a cóż dopiero światowej. Koła te potrafiły zmusić rząd do szeregu odstępstw od głoszonych przezeń haseł. Wystarczy zestawić pewne, aż nazbyt wymowne fakty.

Umowy pożyczkowe z innymi krajami niezmiennie zawierały klauzulę, zobowiązującą dłużnika do zakupywania za pożyczoną sumę towarów amerykańskich. Pożyczka, uzyskana w Waszyngtonie przez delegację angielską, stanowi pod tym względem wyjątek. Z reguły natomiast wspomniana klauzula była zaostrzona dalszym warunkiem, zobowiązującym dany kraj do przywożenia towarów amerykanskich na amerykańskich statkach. W rezultacie taka np. Norwegia, od miesięcy pertraktująca o kredyt 50.000.000 dolarów, mający dla niej żywotne znaczenie dla pokrycia najbardziej palących potrzeb, odmawia przyjęcia tego zobowiązania, nie chcąc ryzykować bezczynności własnej floty handlowej, głównego źródła bogactwa narodowego. Jest to tym jaskrawszy przykład protekcjonizmu, że już od pierwszej wojny światowej marynarka amerykańska, nie będąc w stanie sprostać konkurencji zagranicznej, może się utrzymywać przy egzystencji tylko dzięki subwencjom rządowym. Mimo to ani wzgląd na umożliwienie innym krajom zwiększenia ich siły nabywczej dzięki zarobkom na transporcie morskim, ani szanse odciążenia podatników amerykańskich, z których kieszeni przecież subwencje są opłacane, nie skłaniają Ameryki do wprowadzenia w życie głoszonych haseł liberalnych w tej dziedzinie, najbardziej chyba nadającej się do ich zastosowania. Mało tego, kongres domaga się zachowania poważnej floty handlowej, mogącej przewozić conajmniej połowę importowanych i wywożonych towarów. Nawiasem mówiąc flota amerykańska, która przed obecną wojną liczyła 8.000.000 ton, liczy obecnie pięć razy więcej, t. zn. 40.000.000 ton, podczas gdy w tym samym okresie czasu marynarka handlowa brytyjska spadła z 20.000.000 ton na 12.000.000!

Polityka celna, to drugi przykład rozbieżności między liberalną teorią a protekcjonistyczną praktyką. Niedość znanym jest fakt, że cła amerykańskie należą do najwyższych na świecie. Świadczy o tym wniosek Prez. Trumana o upoważnienie go do redukowania stawek celnych przy zawieraniu traktatów handlowych o 75%, gdyż nawet dopuszczalna obecnie zniżka o 50% nie umożliwia towarom importowanym konkurencji z amerykańskimi. Kongres odrzucił jednak ten wniosek.

Nawet tak daleko posunięta ochrona celna została jeszcze uznana za niewystarczającą przez amerykańskich protekcjonistów, którzy potrafili przeforsować klauzulę, zobowiązującą rząd do ochraniania przemysłu rodzimego z chwilą gdy jego egzystencja stałaby się zagrożona wskutek importu z zagranicy. Na tym tle zaszedł niedawno temu nader znamienny incydent. Rząd amerykański zwrócił się mianowicie do szwajcarskiego o ograniczenie przywozu zegarków. Otóż wiadomo, jak żywotne znaczenie przedstawia dla Szwajcarii jej przemysł zegarmistrzowski, podczas gdy w całych Stanach Zjednoczonych zatrudnia on wszystkiego 8.000 robotników, z której to liczby tylko 1.500 znajduje się obecnie bez pracy! Nic dziwnego, że wobec takiego faktu cytowane pismo francuskie stawia pytanie, czy można jeszcze wogóle mieć wiarę w urzeczywistnienie kiedykolwiek zasad wolnohandlowych!

Także i produkcja surowców korzysta z ochrony. Wysokie subwencje są wypłacane producentom syntetycznego kauczuku (mimo zakończenia wojny, która dopóki trwała, stanowiła najważniejszy powód jego produkcji), wełny (której koszty produkcji uniemożliwiają konkurencję z jakąkolwiek wełna zagraniczna), miedzi (cło ma w pełni charakter prohibicyjny, ponadto najmniej wydajne kopalnie otrzymują subwencje specjalne), zboża i bawełny.

Trudno się zatym dziwić, że w tych warunkach inne kraje nie są skłonne zrzec się układów preferencyjnych w imię czysto teoretycznej swobody wymiany.

Karta handlu międzynarodowego a kartele. Zaproponowana przez Stany Zjednoczone karta handlu międzynarodowego zawiera szczegółowe przepisy odnośnie do karteli surowcowych, wychodząc z założenia, że nastrój wytwórczości i dystrybucji podstawowych surowców światowych szczególnie często prowadził do przesileń międzynarodowych.

W myśl projektu wszelkie porozumienia prywatne (kartele) w dziedzinie produkowania surowców, mają być na przyszłość zabronione. Tylko rządy będą mogły wspólnie podejmować decyzje, zmierzające do wyeliminowania niebezpieczeństwa „dezorganizacji" na rynkach. W razie trwałego nadmiaru pewnego surowca w stosunku do zapotrzebowania, komisja międzynarodowa rozpatrzy środki zapobiegawcze, w szczególności możliwości podniesienia spożycia, przy czym odbiorcy będą w łonie komisji reprezentowani na równi z producentami w celu uniknięcia rozwiązań, opracowywanych po linii jednostronnej ochrony interesów wytwórców. Jeśli okaże się nieuniknione ograniczenie produkcji, decyzja może objąć okres najwyżej pięciu lat, poczym ulegnie rewizji ze strony nowej komisji. W razie natomiast braku odnośnego surowca, specjalna komisja, złożona z ekspertów przemysłowych i handlowych opracuje sposoby powiększenia produkcji i wzrostu obrotów.

Stanom Zjednoczonym z racji czołowej pozycji, jaką zajmują zarówno pod względem produkcji, jak i spożycia surowców, przypadnie w tej dziedzinie niewątpliwie dominująca rola. Właściwe wywiązanie się z niej nie będzie jednak łatwe, zważywszy, że pociągnie za sobą rezygnację z przywilejów ochrony, łączących się z wyższymi niż w innych krajach, kosztami produkcji.

P

SZEROKI HORYZONT

NOWY TEMAT STARYCH WAŚNI

Świat idzie naprzód — a razem z nim postępuje zachłanność ludzka. Doniedawna jeszcze przestworza były wyłączną domeną marzycieli, poetów i wyśmiewanych wynalazców, którzy snuli niedorzeczne plany oderwania się od ziemi. Dziś szlaki powietrzne są ściśle porozdzielane między szczęśliwych posiadaczy i biada samolotom, które zbłądzą na cudze podwórko.

Ostatnio przybyła jeszcze nowa kwestia własności niedostępnych dotąd stron, nastręczająca prawnikom poważne kłopoty, co do tego, kogo by tam należało — mówiąc językiem Tymczasowego Zarządu Państwowego — wprowadzić w posiadanie. Chodzi mianowicie o dno morskie, na które jest ostatnio bardzo wielu poważnych amatorów, w pierwszym rzędzie z Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych.

Jaki jest powód zainteresowania dnem morskim tych narodów, które przecież władają wielkimi i bogatymi kontynentami? — Skarby piratów? Nie, to już się nie opłaca. Rybołówstwo na wielkich głębokościach? Nie, dość jest ryb tuż pod powierzchnią wody.

Chodzi tu tylko o naftę. Wielkie angloamerykańskie przedsiębiorstwa naftowe mają już kompletnie opracowane plany podmorskiego poszukiwania źródeł ropy naftowej i wierceń. Już przed wojną praktykowało się na małą skalę tego rodzaju eksperymenty, na niewielkiej głębokości u wybrzeża Luizjany, ale — jakkolwiek geologowie stwierdzali niezbicie istnienie wielkich złóż naftowych na większych głębokościach — nikt nie przywiązywał do tych badań specjalnej wagi, uważając, że nie wyjdą one poza strefę doświadczeń.

Tymczasem wojenne doświadczenia z wielkimi kesonami, a także z olbrzymimi rurociągami podwodnymi (słynny rurociąg „Pluto") otworzyły zupełnie nowe możliwości przed technikami naftowymi. Zanosi się na to, że dla nadchodzących pokoleń dno oceanów stanie się czymś podobnym do Afryki na tle ubiegłego stulecia — niezmierzonym i bogatym, ale niezbadanym krajem, do którego na wszelki wypadek zgłaszają swe pretensje wielkie mocarstwa.

Tworzy się nowy poważny problem dla znawców prawa międzynarodowego, które — jak wiadomo — przewiduje, że granica wód terytorialnych przebiega w odległości trzech mil morskich od wybrzeża. Morze i jego dno poza tą strefą są — jeżeli wolno się tak wyrazić — „ziemia niczyja".

Przewidujący możliwość powikłań w dalekiej przyszłości na tym właśnie tle publicyści, domagają się, by już teraz, kiedy problem eksploatacji gospodarczej dna morskiego nie jest jeszcze taki palący, cała ta sprawa została uregulowana przez Organizację Narodów Zjednoczonych. Precedensem byłyby próby uzgodnienia w skali międzynarodowej prac nad energią atomową.

OSTATNI SAMOLOT Z BERLINA.

Możnaby powiedzieć, że ta cała sprawa, którą chcielibyśmy tu opowiedzieć, jest już trochę przebrzmiała. Z drugiej strony, przejdzie ona do historii, no a że większość z nas już nigdy nie zasiądzie na szkolnej ławie, a jednak wartoby było coś o tym wiedzieć, więc...

Rzecz dzieje się w Berlinie, 30 kwietnia 1945 roku, o godzinie drugiej nad ranem. Odbłyski smugowych pocisków radzieckiej artylerii i łuny palących się domów, oświetlają jaskrawo wielki łuk Bramy Brandenburskiej. Dwie skulone postacie przekradają się wśród posępnej ciszy, wywołanej przez chwilowe przerwanie ostrzeliwania i wsiadają do małego samolotu, który po chwili startuje z szerokiej Osi Wschód-Zachód. Płatowiec wznosi się szybko na dużą wysokość, przedziera się przez ogień artylerii przeciwlotniczej i bierze kierunek na Zachód.

Kim byli ci ostatni Niemcy, którym udało się wydostać z Berlina, ujętego już wówczas w żelazne kleszcze?

Załogę samolotu stanowił marszałek polny Robert von Greim, ostatni dowódca Luftwaffe, który w maju ubiegłego roku popełnił samobójstwo w Austrii i kapitan Hanna Reitsch — najbardziej znana niemiecka kobieta-pilot. W toku działań wojennych dostała się ona do niewoli aliantów i zeznania jej stanowią ciekawy przyczynek do ostatnich chwil ostaniego wodza ostatniej Rzeszy.

Ona to właśnie pilotowała samolot, którym von Greim przybył na „konferencję" do Hitlera. Hitler miotał się wtedy, jak zwierzę w klatce, biegał od ściany do ściany, miętosząc w spoconych dłoniach porozdzieraną na małe kawałki mapę wojskową. Jak się wyraziła Hanna Reitsch — „zupełnie jak mały chłopiec, bawiący się w wojnę" — kierował ruchami urojonej armii, która — wierzył w to niezbicie — nadchodzi mu z odsieczą. Kiedy dowiedział się, że Himmler i Goering starają się wysadzić go z siodła, dostał napadu szału i miał tak purpurową twarz, że nie sposób go wprost było poznać.

— „W tych ostatnich dniach wszyscy mnie opuszczają — wykrzykiwał — ludzie zatracili już zupełnie pojęcie wierności. Ludzie i wydarzenia zwracają się przeciwko mnie".

Ewa Braun, która nieopodal spokojnie polerowała sobie paznokcie, powtarzała z przejęciem co pewien czas, nie przerywając zresztą swego miłego zajęcia:

— „Biedny, biedny Adolf, przez wszystkich opuszczony, przez wszystkich zdradzony".

Poza tym w schronie siedział Goebbels, który do ostatka uprawiał propagandę, opowiadając każdemu, kto go tylko chciał słuchać, że historia należycie oceni jego honor, jaki wykazał, decydując się na śmierć razem z Rzeszą. Dzieci Goebbelsa śpiewały piosenki dla „wujaszka Führera" i bawiły się „w dom". Martin Bormann natomiast, siedział przy swym biurku, zapisując dla potomności wydarzenia chwili.

Cała ta sielanka, sprawia trochę wrażenie kiepskiej anegdoty o wariatach — ale bez pointy. Tymczasem w rzeczywistości pointa była, i to nawet zupełnie udana.

Kiedy Rosjanie ruszyli do ostatecznego szturmu i podeszli pod sam schron, Hitler zaczął obecnym rozdawać dawki trucizny. Oświadczył przy tym Hannie Reitsch, że należy ona do tych, którzy umrą z nim razem. Wkońcu jednak zmienił swe postanowienie i rozkazał jej, by razem z von Greimem odleciała po odsiecz lotniczą, któraby pozwoliła na odrzucenie atakujących wojsk radzieckich.

I tak to Hanna Greitsch nie zaznała zaszczytu śmierci z Wodzem, lecz odleciała w nieznane, wzywając Luftwaffe, której już nie było...

ATOMOWE MOŻLIWOŚCI

Ostatnio mówi się nieco mniej o pokojowych możliwościach zużytkowania energii atomowej, choć przecież nikt nie może wątpić, że użyta do pracy konstruktywnej, stanie się ona podstawą nowej epoki.

Jakie są ostatnie wiadomości z frontu badań nad tymi możliwościami? Przede wszystkim rzeczoznawcy doszli do przekonania, że zastosowanie energii atomowej do celów przemysłowych, będzie musiało być stosowane bardzo oględnie, ponieważ koszty inwestycji są znacznie większe niż przy korzystaniu z węgla, gazu ziemnego czy ropy naftowej, jako surowca. Jest to wywołane w pierwszym rzędzie bardzo ciężką konstrukcją, jaka jest niezbędnie konieczna we wszystkich maszynach, wykorzystujących energię atomową, a to dla zabezpieczenia pracujących przy nich robotników przed działaniem promieni radioaktywnych. Jeżeli chodzi o konkretny przykład, to motor stukilowatowy, wykorzystujący energię atomową, o sile 130 koni, a więc takiej, jaką ma pierwszorzędny motor samochodowy, musi ważyć najmniej 50 ton. W tych warunkach, najmniejszym „pojazdem", jaki może używać energii atomowej jako napędu, będzie prawdopodobnie wielka lokomotywa, a rzeczywiście opłacać się będzie zastosowanie takich silników tylko na statkach transoceanicznych.

Tyle informacji można narazie zebrać o zastosowaniu przemysłowym i komunikacyjnym. Jest to bardzo niewiele, ale przecież poszczególne metody zastosowania energii atomowej, są ciągle jeszcze osłonięte tajemnicą, zamiast stać się własnością całej ludzkości. Wydaje się tylko, że już w najbliższej przyszłości, uda się uzyskać wiele nowych preparatów radioaktywnych, o zasadniczym znaczeniu dla medycyny, biologii, chemii i fizyki, właśnie z uranu. Ma to specjalne znaczenie, zwłaszcza w produkcji masowej preparatów do zwalczania raka, któryrzy szczy się w zastrzasających sposób.

Trzeba mieć nadzieję, że straszna siła, która została po raz pierwszy wyzwolona w strasznej eksplozji w Hiroszimie, będzie zużyta dla dobra świata, a nie jego zniszczenia.

Wilk

ODPOWIEDZI REDAKCJI

„Iza", Łódź. Pozdrawiamy Panią w imieniu żyjących poetów „Sinu". Wiersz słaby. Interesują nas Pani wspomnienia. Prosimy o większy wybór, aby móc ocenić i ewentualnie drukować.

„Ania". Prosimy o nadesłanie większego wyboru Pańskich prac o tematyce, bardziej zbliżonej do naszej postawy.

„Wierny Czytelnik". Po zasięgnięciu informacji komunikujemy, że matura typu Mat.-Przyr. jest w zasadzie wystarczająca. Brak matury typu Humanistycznego może być przeszkodą w wypadku nadmiernej ilości kandydatów i związanego z tym konkursem matur.

„Dla Prochа". Wiersze dobre. Kolejno drukujemy.

Redaguje: Kolegium redakcyjne. Redaktor naczelny: Witold Bieńkowski. Kierownik Oddziału Krakowskiego: Wojciech Kętrzyński. Wydawca: Kolegium redakcyjne.
Adres redakcji i administracji: Marszałkowska 81 m. 17. Konto P. K. O. — Nr I—727. Redaktor przyjmuje codziennie od godziny 11 do 12.
Adres Oddziału Krakowskiego: Kurkowa 5 m. 4. Redaktor przyjmuje w poniedziałki, środy i piątki od godziny 13 do 14.
Prenumerata miesięczna 30 złotych. Kwartalna 85 złotych.
Złożono w Zakł. Graf. „Dźwignia" Widok B-04289
Odbito w Drukarni „Czytelnik" Nr. 2, Marszałkowska 3-5.